

Bułyczow Kirył

Bułyczow Kirył



Kirył Bułyczow właściwie **Igor Wsiewołodowicz Możejko** (ur. 18 października 1934, zm. 5 września 2003) – rosyjski historyk i pisarz fantastyki naukowej. Pracował w Instytucie Orientalistyki Radzieckiej Akademii Nauk.

Jego pierwsze opowiadanie fantastyczne pod tytułem *Dinozaury nie wymarły* zostało wydane w czasopiśmie *Wokrug swieta* pod koniec 1967 roku.

Pseudonim autora jest połączeniem Kir – od imienia żony, Bułyczow, od nazwiska panieńskiego matki.

Jego najbardziej znane utwory to seria humorystycznych opowiadań o mieszkańcach rosyjskiego miasteczka Wielki Guslar, będącego nieco karykaturalną kopią realnie istniejącego miasteczka Wielki Ustiug. Nawet nazwiska bohaterów zostały zaczerpnięte z książki adresowej tego miasteczka z 1907 roku. Wielki Guslar przyciąga wszelkiego rodzaju kosmitów i nadnaturalne istoty; Dzieją się w nim rzeczy będące często satyrą na życie w Związku Radzieckim.

Inną znaną serią utworów Bułyczowa był cykl powieści dla dzieci i młodzieży o Alicji, dziewczynce z przyszłości.

Trzydzieście lat podróży

1.

Sto sześć lat temu statek "Anteusz" opuścił Ziemię.

Jakkolwiek olbrzymią jest jego prędkość, jakkolwiek znikomo mały opór stawia kosmiczna próżnia olbrzymiemu pociskowi, trajektoria lotu którego łączy nieodróżnialną przez najmocniejszy teleskop Ziemię i Alfę Łabędzia, to droga musi zająć w sumie sto dziewiętnaście ziemskich lat.

Sto sześć lat minęło na Ziemi od tego dnia, kiedy siedemdziesięciu sześciu kosmonautów, rzuciwszy ostatnie spojrzenia na błękit nieba, puch obłoków i zieleń drzew, weszło do kutrów planetarnych, a te poderwały się do lotu w górę, gdzie na wysokości półtora tysiąca kilometrów, na stacjonarnej orbicie, czekał na nich "Anteusz".

Zbliżając się, mogli obejrzeć ten dom z daleka. Jednym kosmiczny dom wydawał się niezgrabnym owadem, innym przypominał uszkodzoną dziecienną zabawkę. "Anteusz" nigdy nie miał lądować na Ziemi czy innym globie. Urodził się w przestrzeni kosmicznej, gdzie został zmontowany, i tam miał umrzeć. Dlatego konstruktorzy nie przejmowali się oporem środowiska, a laikowi wydawał się on być alogicznym połączeniem pierścieni, rur, kuł, anten i sześcianów. Póki statek się rozpędzał - a trwało to całe miesiące - załoga "Anteusza" mogła widzieć Ziemię. Najpierw zajmowała ona połowę nieba, ale stopniowo zaczęła stawać się wyblakłą plamką pośród milionów podobnych jej innych jaśniejszych plamek...

Tak zaczęła się droga. Minęło sto sześć lat.

Za trzydzieście lat "Anteusz" osiągnie cel.

2.

Pawłysz minął dwudziesty czwarty rezerwowo korytarz i zatrzymał się przed drzwiami do oranżerii. Oranżeria została porzucona jakieś pięćdziesiąt lat temu i - prócz mechaników - nikt tu nie zaglądał.

Drzwi otworzyły się nie od razu. Jakby mechanizm miał problemy z przypomnieniem sobie, jak się je otwiera.

Gdy Stanzo opowiadał o porzuconej oranżerii, Pawłysz wyobrażał sobie, że zobaczy wspaniałą dżunglę, płataninę lian i dziwaczne kwiaty zwisające z koron. Oranżeria była tajemnicą, odkryciem. - Wędrówka do niej - około godzina marszu po pustych korytarzach i salach statku - przygotowywała do tajemnicy.

Droga nie kryła żadnych niespodzianek.

Gdzieś w jej połowie spotkał robota-sprzątacza, a w kuli "D" trafił na teren wykorzystanych i porzuconych magazynów. Oświetlenie było tu skąpe, puste pudła i kontenery piętrzyły się w pomieszczeniach wypełnionych czyhającym na pierwszy krok echem.

Tu wszystko było zapuszczzone; farba na ścianach - teoretycznie wieczna - zbladła, arkusze plastikowego poszycia w wielu miejscach odstawały od ścian. Pachniało ciepłym kurzem.

Pawłysz nijak nie mógł pozbyć się wrażenia, że pustka przygląda się mu. Że ma oczy.

Statek był zasiedlony pamięcią.

To był najstarszy statek Ziemi. Miał ponad sto lat.

Przez ten okres na Ziemi wynaleziono nowe stopy i źródła światła, nawet pudła i kontenery byłyby inne, gdyby "Anteusz" wyruszył w swą podróż o sto lat później. Wszystko byłoby inne.

Statek trzymał się, ale był bardzo stary. Tak obliczano, że spędzi w przestrzeni kosmicznej wiele dziesiątków lat. Ale i tak się postarzał.

I zasiedlało go coraz mniej ludzi.

Jeden po drugim pozbywały się swych ładunków magazyny, zamykano odległe pomieszczenia i korytarze, nie były potrzebne. W dniu, kiedy Pawłysz wyruszył na poszukiwania porzuconej oranżerii, na pokładzie było o połowę mniej ludzi niż sto sześć lat temu. Zamieszkała, czynna część statku kurczyła się z każdym rokiem. Podobnie, opuszczoną wieś przejmuje we władanie las, zajmując niepotrzebne już pola i łąki.

Pawłysz otworzył drzwi do oranżerii i rozczarował się. Za drzwiami nie było żadnej dżungli, tylko długie szeregi suchych grządek.

Wśród wyschniętych łodyg kłujące krzewy. Bura trawa pod stopami, poskręcane sznury zdziczałego grochu pełzną po ścianach, gdzieś na zakurzonych stołach laboratoryjnych zostały kolby i probówki. Wiele lat temu ktoś wykonywał tu doświadczenia. Teraz wystarcza oranżeria w kuli "C".

Łodygi zaszeleściły, drgnęły.

Coś szarego poruszyło się w odległym końcu cieplarni. Pawłysz odskoczył do tyłu. Na statku nie mogło być nikogo obcego. Nic zbędnego, ponadplanowego.

Odskoczył za drzwi i wduśił przycisk. W pierwszej kolejności należało odizolować pomieszczenie, potem wezwać pomoc. Wszystko, co nieznanne, niezrozumiałe może być zagrożeniem. Nie tylko dla Pawłysza osobiście, dla całego statku.

Drzwi niechętnie zamknęły się. Pawłysz stał samotnie w bardzo cichym korytarzu. Równie i spokojnie świecił sufit.

Pawłysz znajdował się na statku, na który nie mogło nic przeniknąć z zewnątrz. To, co widział, powinno mieć swoje racjonalne wytłumaczenie.

Fajnie będzie, gdy przybiegnie do Stanza i powie, że widział coś w porzuconej cieplarni. A co? Coś.

Otworzył więc ponownie drzwi. Zamknął je za sobą. Niech to Coś nie ucieknie na zewnątrz.

Potem ostrożnie ruszył przed siebie.

Starął się nie wchodzić w grządki. Ceramiczne kafelki chrzęściły pod stopami, niektóre kołysały się i wypadały. W cieplarni panowała nieprzyjemna, stęchła woń.

O dwa kroki od miejsca, skąd wyskoczyło owo Coś, Pawłysz znieruchomiał. Jakies dziesięć metrów od niego znajdowała się okrągła ściana - koniec oranżerii.

Wtedy zobaczył. W płataninie gałązek zasiadły dwa szare koty. Patrzyły mu w oczy, mądrze i czujnie. W półmroku, tu światło było gorsze niż przy wejściu, ich oczy płonęły żółtym, złym światłem.

- Tego jeszcze brakowało - powiedział głośno Pawłysz.

Powinien był się tego domyślić wcześniej. Ktoś kiedyś zdecydował, że na statku muszą być zwierzęta. Domowe. Takie, które nie będą dużo jadły, ale urozmaicą samotność ludzi.

Na statku pojawiła się kocia rodzina. Mimo że była kontrolowana i pilnowana, sterowana rozrodczością tego gatunku, to wielokrotnie w odległych zakątkach statku ludzie wykrywali nielegalne, niezarejestrowane koty.

Koty musiały coś jeść. A to znaczyło, że opanowały kanały wentylacyjne i cieplarnia nie była tak odizolowana od reszty statku, jak się zdawało.

- Możecie tu sobie żyć - pozwolił kotom Pawłysz. Pochylił się, wyciągnął z gruntu błądą, niemal białą łodygę.

Jednak jakies życie istniało i tu. Trzeba będzie powiedzieć Chrście, niech tu zajrzy.

Więcej już nie pojawiały się w oranżerii żadne upiory. Upiory to część pokładowego folkloru.

Po stu, z hakiem, latach na statku musiał zrodzić się własny folklor.

W głębi duszy Pawłysz bardzo chciał zobaczyć ducha. To nie znaczy, że wierzył w takie bzdury. Ale gdy leci się tak starym i rozległym statkiem, powinno na jego pokładach ukrywać się coś niezwykłego.

3.

Pawłysz nie miał ochoty wracać do zamieszkałej części statku. Od razu znajdą mu jakieś zajęcie. A kiedy po raz drugi uda mu się wyrwać i tak spokojnie, niespiesznie pospacerować po statku? Wszedł do tunelu łącznikowego, którym można było dojść do Zewnętrznego Ogrodu. Przez Ogród mógł wrócić do siebie. Po drodze zajrzał do porzuconej biblioteki. Kiedyś część kajut mieszkalnych znajdowała się w tym sektorze i nieopodal nich znajdowała się filia biblioteki. W bibliotece panował zupełnie inny zapach - zapach taśmy. Komórki na mikrofilmy i wideokasety były pootwierane. W niektórych zostały taśmy. Pawłysz wiedział, dlaczego tak się stało. Kiedy bibliotekę przenoszono, kasety będące kopiami tych z głównej biblioteki, nie były zabierane. Wiedział, że nie spotka go tu żadna niespodzianka, ale zmitrężył trochę czasu na czytanie tytułów.

Oplącało się. W jednej ze skrzyń znalazł ósmy, szesnasty i dwudziesty odcinek serialu "Podwodnego świata", brakowało ich w bibliotece głównej.

Potem znalazł jeszcze kilka kaset bez etykiet. Zabrał je również.

Kwadrans później dotarł do tunelu łącznikowego i zatrzymał się przed windą.

Tu było znacznie jaśniej, tu czasem pojawiali się ludzie.

Winda przeniosła Pawłysza o kilka poziomów wyżej, co było pojęciem względnym, ponieważ dół jest zawsze w centrum statku, a góra to pomieszczenia zewnętrzne. Pole grawitacyjne, wytwarzane przez silniki, czało się w centralnej kuli.

Sala relaksu przez wejściem do Ogrodu Zewnętrznego też świeciła pustkami.

W basenie, niczym błękitnawe zwierciadło, zastygła woda. Była tak równa i nieruchoma, że Pawłysz nabrał ochoty, by pochylić się i zakłócić tę doskonałość. Wsunął rękę do kieszeni, miał tam zawsze coś niepotrzebnego. Palce wymacały metalową kulkę, cisnął ją do basenu.

Zwierciadło drgnęło, plusnął słupek wody i we wszystkie strony pomknęły kręgi fal, w końcu swej drogi oblizując ściany basenu.

No, tak lepiej.

Niskie, miękkie kanapy, niczym klamry, ciągnęły się dokoła basenu. Pawłysz z rozpędu wskoczył na jedną z nich, usiadł niewygodnie na torbie z kasetami, które włókł z porzuconej biblioteki. Kanapa odżyła, starając się dostosować do konturów ciała siedzącego.

Pawłysz wyobrażał sobie, że jest na "Nautilusie". Gdzieś w jego trzewiach żyje ostatni pasażer, stary kapitan Nemo.

A może to "Marie Celeste"? Nieoczekiwane nieszczęście zważyło się na szkuner. Dlaczego wszyscy, co do ostatniego człowieka, porzucili statek? A garnek na kuchni był jeszcze ciepły.

Nie, to niezamieszkała wyspa. Oto jest, ciemny las za szklaną ścianą. Wysoko na prawej szary okrąg. Łata.

Kiedy Pawłysza jeszcze nie było na świecie, w Ogród Zewnętrzny uderzył meteoryt. To się zdarza w kosmosie. Nad meteorytową osłoną "Anteusza" trudziły się najlepsze umysły Ziemi - ani jeden okrucień materii nie powinien był dotknąć statku, zbyt wysoka mogła być cena takiego kontaktu - ale i tak sześćdziesiąt lat temu "Anteusz" trafił w mocny meteorytowy strumień. Tak gęsty, że jeden z kamieni uderzył w statek.

Meteoryt przebił zewnętrzną przezroczystą ściankę Ogrodu.

Następnie przenicował drugą ściankę, dzielącą Ogród od Sali Relaksu. Potem przedziurawił jeszcze trzy przegrody, zanim wypadł na zewnątrz.

Wypadek ten kosztował życie dwóch kosmonautów, którzy akurat znajdowali się w Sali Relaksu. Pawłysz dowiedział się, że grali po prostu w szachy.

Zginął też Zewnętrzny Ogród. Umarł tak szybko, że nie zdążył nawet się zmienić.

Pawłysz podszedł do szklanej ściany.

Kiedyś ogród troskliwie zaplanowano, potem uprawiano, jako miejsce, gdzie kosmonauci, będąc niewiarygodnie daleko od domu, mogliby poczuć uroki letniej nocy i zapachy ziemskiego lasu. Pod przezroczystą, wysoką kopułą tłoczyły się brzozy i jodły, krzewy różane i olszyny, a dalej, gdzie panowała temperatura nieco wyższa, pięły się do góry palmy.

Po remoncie ówczesny kapitan "Anteusza" postanowił nie podłączać Ogrodu do systemu ogrzewania - odtajałe drzewa i krzewy zgniłyby po prostu. A w panującej temperaturze będą zamrożonymi pomnikami drzew i kwiatów. Jeśli ktoś nie wie, co tu się stało sześćdziesiąt lat temu, może mu się wydać, że za szybko zaczyna się prawdziwy zimowy las.

4.

I Pawłysz wyobraził sobie niekończący się, nocny las. Ciepłe, wilgotne powietrze, w którym unoszą się korzenne zapachy, gdzie szelest opadających liści jest równie ostrożny i niemal niesłyszalny jak kroki wilka. Czasem tylko trzaśnie sucha gałązka albo odważnie wdepnie w stertę chrustu niczego nie bojący się niedźwiedź.

Głośny plusk, uderzenie, niemal huk rozcięty ciszę w sali.

Wybuch?

Pawłysz poderwał się, odwrócił, jednocześnie przywierając plecami do przezroczystej ściany.

Siła ciężenia na statku jest niemal dwukrotnie mniejsza od ziemskiej, dlatego najbardziej nawet dynamiczne ruchy są spowolnione. Mózg już zakończył zwrot ciała, ale ono samo wciąż jeszcze poruszało się.

Bryzgi wody wyleciały na podłogę sali.

Długi, zielony cień, podobny do cienia dużej ryby, przemykał pod poruszoną taflą błękitnej wody.

Krótko ostrzyżona dziewczęca głowa przebiła lustro, dziewczyna otworzyła oczy, strąciła dłonią krople wody z rzęs.

- Wystraszył się pan? - zawołała. - Umyślnie rozebrałam się cicho i... jak nie skoczę!

Pawłysz poczuł się głupio - dziewczyna mogła widzieć jego reakcję. Ale nie, kiedy on się odwracał, ona była jeszcze pod wodą.

Dziewczyna obróciła się na plecy. Miała na sobie zielony, jednoczęściowy strój.

Woda uspokajała się wolno i rzeczowo, jakby basen był wypełniony olejem.

- Woda jest tu wspaniała! - powiedziała dziewczyna. - Codziennie się tu kąpię. Nie próbował pan?

- Jeszcze nie.

Nie widział wcześniej tej dziewczyny. Wczorajszy dzień był taki zwariowany. A dzisiaj wyruszył na wędrowną podróż po statku. Dziewczyna podpłynęła do brzegu.

- Ja też tu czasem przychodzę specjalnie, żeby popatrzeć na ten las. Ale zawsze wiem, że jest martwy. Widocznie mam źle rozwiniętą wyobraźnię.

Pawłysz wrócił na kanapę i usiadł.

- Nie widziałem pani wczoraj.

- Kiedy pan przyleciał, miałam wachtę. Mam na imię Grażyna.

- Widziałem koty. W pustej oranżerii.

- O, tam nigdy nie byłam - odpowiedziała. - Nie jestem romantyczką.

Zabrzmiało to bardzo protekcjonalnie, a Grażyna nawet nie usiłowała tego maskować.

Dziewczyna zanurkowała szybciej niż Pawłysz zdążył znaleźć jakąś ciętą ripostę.

Gdy ponownie pojawiła się na powierzchni wody, zapytał:

- Pani jest biologiem?

- Grawitacja - odpowiedziała Grażyna.

- A jak brzmi pani imię w skrócie?

- Podoba mi się Grażyna - odpowiedziała. - Nie trzeba skracać.

- Ale jest dość długie.

- To nic, nie zdąży się pan zmęczyć. Jutro odlatuję. Grażyna podpłynęła do brzegu. Pawłysz zobaczył, jak długie ma palce. Po prostu zadziwiająco długie palce, z krótko obciętych paznokciami. Na policzku, pod lewym okiem, miała cieniutką bliznę. Pulchne i ruchliwe wargi. Ich kąciki przez cały czas poruszały się.

Oczy Pawłysza wychwytywały szczegóły twarzy, figury. Kawałki mozaiki tworzyły portret, który, gdyby przebywali na statku jeszcze długo razem, nie miałby nic wspólnego z pierwszym wrażeniem.

- Ten rok - powiedziała Grażyna - przeleciał migiem. Słowo honoru. Gdzieś w połowie zrobiło się smutno, w końcu jednak jesteśmy dość odizolowani. A teraz... nawet pan sobie nie wyobraża, jak nie chce się odlatywać.

- A gdyby pani teraz zaproponowano, żeby została pani jeszcze na jedną turę?

- No, nie. Nie zostalabym - odpowiedziała Grażyna. W tym momencie Pawłysz zauważył, że ma zielone oczy. Ciemne, mokre rzęsy przesłaniały je i dlatego w pierwszym momencie wydały się o wiele ciemniejsze.

- Szkoda - powiedział. - Im więcej ludzi, tym jest ciekawiej.

- Wystarczy ludzi i beze mnie - zaproponowała Grażyna. - Ilu jest na pana zmianie?

- Trzydziestu dwóch.

- W mojej było trzydziestu sześciu. Ale nie miałam szczęścia.

- Aha. - Pawłysz od razu zrozumiał, co miała na myśli. "Anteusz" jeszcze przez trzynaście lat będzie leciał do gwiazdy. Jeszcze trzynaście zmian. Trzynasta będzie tą najszcześniejszą, jej załozde przyjdzie wylądować na globie, zakończyć trud wielu tysięcy ludzi i półtorej setki lat.

- To nic - powiedział Pawłysz. - Jeszcze nie będziemy tacy starzy. Na pewno odwiedzimy ten glob.

- Nie ma tam dla nas pracy - powiedziała Grażyna. - Na powierzchni planety będą potrzebni inni specjaliści.

- Dlaczego? Silniki i tam będą potrzebne. I kabiny.

- Pan jest kabinowcem?

- Medyk-kabinowiec.

- Rzadkie połączenie. Który rok?

- Czwarty. A pani? Grażyna wyszła z wody.

- Poproszę o ręcznik.

Ręcznik leżał obok Pawłysza. Poderwał się i podał go. Zaczęła wycierać włosy, a Pawłysz zrozumiał, że jej oczy nie mają po prostu koloru zielonego, a bardzo zielony.

- Jestem już staruszką na doktoracie. Mam dwadzieścia trzy lata.

- No to co? Różnica zaledwie trzech lat. Nieistotna - odpowiedział Pawłysz.

Grażyna roześmiała się. Śmiała się tak serdecznie, że ręce z ręcznikiem opadły jej i Pawłysz zobaczył, jak zmieniła się jej twarz. Mokre włosy, przylegające dotychczas do głowy, podsuszone ręcznikiem zmieniły się w bujną grzywę. Twarz zmniejszyła się. Tylko oczy pozostały zielone i ogromne.

Cisnęła rękami na kanapę, wzięła stamtąd szlafroczek, nałożyła go i wsunęła stopy w pantofle.

- Proszę nie spóźnić się na obiad! - powiedziała. - Dzisiaj mamy pożegnalny obiad.

- Na pewno nie!

- Proszę nie zapomnieć o swojej torbie. Co pan tam ma? Grażyna przemawiała bezceremonialnie, ale Pawłysz nie potrafił się na nią rozgniewać. Ta bezceremonialność tworzyła osobistą więź między nimi.

Tylko człowiek ci bliski może zapytać, co masz w torbie.

- Byłem w porzuconej bibliotece - przyznał się Pawłysz. - Zabrałem stamtąd kasety.

- Ja też tam kiedyś chadzałam. Wszyscy chodzili. Podejrzewam, że kiedyś specjalnie tam zostawiono masę ciekawych filmów, żeby można było zorganizować załodze dodatkową przygodę. Co pan wziął?

Pawłysz pożałował, że nie wziął ani jednej książki Dostojewskiego czy Marqueza.

- Takie tam - powiedział. - Przygodowe.

- "Gwiazdny rejs"?

- "Podwodny świat". Opuściłem kilka odcinków.

- Proszę się nie wstydić, kursancie. Nie zapytałam, jak pan się nazywa.

- Sława. Sława Pawłysz.

- No proszę, Grażyna się panu nie podoba, mnie się Sława podoba. Tak więc Sławku, muszę się przyznać, że sama jeszcze dwa miesiące temu wyciągnęłam z tej biblioteki trzeci i czwarty odcinek "Podwodnego świata", mimo że z racji wieku i powagi nie powinnam tego robić.

- Nie wygląda pani poważnie.

- Staram się.

5.

Poszli razem w kierunku windy do centralnej kuli, potem Grażyna pobiegła przebrać się do swojej kajuty.

Pawłysz poszedł do kabin.

Zwykły statek ma zazwyczaj dwa ośrodki sterowania: sterówkę i sekcję napędową.

Na "Anteuszu" były trzy centra dowodzenia. Prócz dwóch zwyczajowych były tam też "kabiny". To powszednie słowo nosiło w sobie stygmat dążenia do pozbawienia rzeczy niezwykłych patosu i zadęcia.

W kosmicznym instytucie, który miał szczęście kończyć Pawłysz, trwała odwieczna i pozbawiona szans na zakończenie wojna ciała profesorskiego, dla którego szacunek dla prawidłowej terminologii oznaczał szacunek do przedmiotu nauczanego, i kursantów, którzy nawet podczas egzaminów nie mogą przeskoczyć dwóch prostych słów: "retlanslatory teleportacyjne".

Do takich kursantów należał również Pawłysz będący dobrym, w miarę pilnym i w miarę zdolnym, studentem. Wystarczająco w sumie dobrym, by skierowano go na "Anteusza" - przedmiot westchnień wielu pokoleń studentów.

Pawłysz maszerował do kabin, ale wcale nie zaprzętał sobie głowy problemami, historią i perspektywami teleportacji; z każdym krokiem spadał w słodką przepaść zakochania, przy tym zakochania skazanego na rozłąkę, co zawsze potęguje uczucie.

Nie przejmował się całkowicie teleportacją. A przecież jeszcze dla fizyków i pilotów nawet dwudziestego trzeciego wieku podróże z prędkością przekraczającą prędkość światła były domeną fantastyki. Skoki przez zwiniętą przestrzeń i temu podobne wynalazki marzycieli na razie nie stały się realne. Prawa przyrody niełatwo jest oszukać. Tak więc w podboju planet

Układu Słonecznego powstała pauza, która mogła trwać wiecznie. Gwiazdy pozostały nieosiągalne, ponieważ droga do nich trwała setki lat. Technicznie rzecz ujmując, można było zbudować statki zdolne do tak długiego przebywania w przestrzeni, ale nie dało się wynaleźć nieśmiertelnego człowieka. Oczywiście marzenia o dotarciu do gwiazd, do innych cywilizacji, istnienie których było tylko teoretycznie dozwolone, nadal kipiały w wyobraźni- ludzkiej. Projekty, opracowane przez marzycieli jeszcze w dwudziestym wieku, rozpatrywano i obliczano, ale nie realizowano ich. Można było zbudować olbrzymi statek, wyposażony we wszystko, co niezbędne, żeby załoga spędziła w nim wiele dziesięcioleci. Żeby kosmonauci rodzili się na jego pokładzie, rośli, uczyli się i umierali. Sto, dwieście, trzysta lat w drodze...

Ochotnicy, którzy pragnęli się poświęcić, mieli do swojej dyspozycji dożywotnie więzienie, przy tym więzienie doprowadzone do absurdu - nie tylko dla nich samych, ale również dla ich dzieci i wnuków. Na dodatek można było wyliczyć, że w takiej podróży załoga, jakkolwiek by nie była do tego przygotowana i chętna do złożenia ofiary z siebie i swoich dzieci, musi nieuchronnie się zdegenerować, jak niewątpliwie zdegeneruje się każda ludzka społeczność oderwana od reszty ludzkości. Cel nie uświęca środków.

Teoretycznie i nawet praktycznie możliwy był również drugi wariant. Po odlocie z Ziemi załoga pogrąży się w anabiozie, z której zostanie wyprowadzona w chwili znalezienia się u celu. To samo w drodze powrotnej.

W ten sposób więzienie pozostałoby więzieniem, ale więźniów dostałoby szansę przespania nieskończenie długiego okresu i nawet wyjścia na wolność.

Ale i tak załoga musiałaby wykazać się nadmierną ofiarnością. Przecież kosmonauci wrócą do domu po trzydziestu latach. To znaczy, że nigdy już nie zobaczą Ziemi takiej, jaką pozostawili, nigdy nie znajdą tak naprawdę dla siebie miejsca w świecie, tak samo jak nie znalazłby go człowiek współczesny Newtonowi czy Napoleonowi.

Ale odkrycie teleportacji, dokonane po tym, gdy ludzkość nauczyła się korzystać z praw grawitacji, zmieniło sytuację i pozwoliło wrócić do dyskusji nad tym problemem.

Najpierw udało się przekazać jeden gram substancji na odległość dziesięciu centymetrów. Potem biała myszka - odwieczna ofiara postępu naukowego - została rozłożona na atomy i złożona ponownie w sąsiednim mieście, po czym oblizwała się i zaczęła gryźć kostkę cukru. W końcu, w sierpniu 2198 roku, Biser Simonian wszedł do kabiny teleportacyjnego ośrodka w Płowdiw i wyszedł - żywy i zdrowy - z identycznej kabiny w Bombaju.

Ponieważ teleportacją wykorzystuje fale grawitacyjne, rozprzestrzeniające się praktycznie w mgnieniu oka, ograniczeniami w przetrzucie obiektów była tylko energetyczna moc i pojemność kabiny.

W ciągu pięćdziesięciu najbliższych lat kabiny zostały rozmieszczone po powierzchni całej Ziemi i na planetach Układu Słonecznego*. Statki kosmiczne, oczywiście, istniały nadal, ponieważ ich zadaniem było przewożenie dużych ładunków, rud, surowców. Kabiny były nie tylko małe, nie stały się one i raczej nie staną tanią rozrywką.

Kabiny umożliwiły również drogę do podróży międzygwiazdnych. Jeśli wyślemy w nieskończenie długą podróż statek kosmiczny, ale wyposażymy go na dodatek w kabinę do teleportacji, to załoga nie musi pozostawać na pokładzie sto lat. Można ją zmieniać co jakiś określony odcinek czasu.

Tak powstał "Anteusz".

Pierwsza jego załoga po roku pracy wróciła na Ziemię, ustąpiwszy miejsca innym kosmonautom. Przy tym w ciągu tego roku kabiny kilka razy były uruchamiane. Na pokładzie gościła komisja z ONZ, dwukrotnie wycofywano ze statku chorych, na dodatek trzeba było uzupełnić zapasy

żywności, pocztę i przyrządy. Tak więc w ciągu stu sześciu lat lotu na pokładzie "Anteusza" gościło sto załóg.

Co prawda, co roku łączność ze statkiem stawała się trudniejsza. Na to wszyscy byli przygotowani i nawet przewidziano to w konstrukcji statku.

Mimo tego, że fale grawitacyjne rozprzestrzeniają się niemal natychmiast, zapotrzebowanie na energię wzrasta wraz ze zwiększaniem się odległości.

Nauka rozwijała się, pojawiały się nowe źródła energii i możliwości Ziemi również wzrosły. Co prawda, dla zaoszczędzenia strat energii i zapasów stale zmniejszano liczbę załogantów, i w dniu, kiedy kursant Sława Pawłysz znalazł się na jego pokładzie, zamieszkiwało go trzydzieści osób.

Do celu podróży doleci jeszcze mniej. Najprawdopodobniej coś około dziesięciu członków załogi. I nie będzie już wśród nich kursantów. "Anteusz" zaś skończy na orbicie odległej gwiazdy. Stopniowo, jeśli powstanie tam ludzka kolonia, będzie się go rozbierało, wykorzystując do budowy potrzebnych obiektów.

W ciągu stu z hakiem lat Statek stał się częścią historii ludzkości. Pawłysz, jeszcze będąc na Ziemi, wiedział o kotach, które potrafiły wymknąć się spod kontroli i rozmnożyły w pustych magazynach, wiedział o porzuconej bibliotece i o basenie z błękitną wodą. Tysiące razy oglądał statek na ekranie i uczył się go podczas specjalnych zajęć, tak jak uczyli się go jego nauczyciele, i nauczyciele jego nauczycieli, pracujący ongi na "Anteuszu".

Ale wszyscy jego załoganci prędzej czy później wracali do domów. Jak marynarze z dalekiego, ale przecież nie niekończącego się rejsu. Prócz tych, którzy umarli albo zginęli w drodze. Ale takich było niewiele. Sześciu.

////* - Możliwość błyskawicznego przeniesienia się do dowolnego punktu na kuli ziemskiej i paradoks polegający na tym, że szybciej można było przenieść się z Paryża do Rio de Janeiro niż z Paryża do Wersalu, zmieniły nie tylko szybkość komunikacji, ale i styl życia. Jeśli potrafisz mieszkać w Moskwie, a pracować na Marsie, to psychologicznie istotnie różnisz się od człowieka dwudziestego wieku.\\\\

6.

Zapewne sala teleportacji, gdyby wyjąć z niej cały farsz urzędów, byłaby ogromna. Ale przez ostatnie sto lat nikomu nie udało się zobaczyć jej ścian.

Kabiny na Zielni były znacznie skromniejsze - w końcu zawsze można zawołać ekipę remontową. Tu natomiast wszystkie systemy były dublowane i przedublowywane, a rezerwa niezawodności wielokrotnie przekraczała tę teoretyczną. W istocie swjej to właśnie Centrum było główną przyczyną istnienia "Anteusza".

Pawłysz minął płataninę korytarzyków, wijących się między milczącymi, ale żyjącymi maszynami. Ulice i zaułki tego miasteczka znał na pamięć. Gdyby go wyrwać ze snu i kazać sprawdzić blok numer 50 - z zamkniętymi oczami znajdzie drogę.

Wiadomo dlaczego: w instytucie stoi trener, dokładna kopia w takiej samej sali. Trener ma dokładnie tyle samo lat, co oryginał.

Student musi znać trenera jak swoje pięć palców. Jeśli będzie miał szczęście, to zobaczy kiedyś autentyczne kabiny "Anteusza".

Prócz obowiązku, znakomite opanowanie przez studentów topografii i działania tej starożytnej sali tłumaczyła również swoista tradycja: sala ta była najbardziej sprzyjającą samotności w całej uczelni, była jego lasem, jego parkiem, jego labiryntem. Nikt nie wie, ile życiowych ścieżek zmieniło się, skończyło i uratowało w jego półmrocznych zaułkach, ile odbyło się tu kategoriycznych wyjaśnień, ilu wysłuchano zwierzeń, ile odbyło się przypadkowych spotkań,

dramatycznych rozstań... A i sam Pawłysz nie dawniej jak miesiąc temu usłyszał zdecydowane "nie" w ciasnym przedziale między blokiem 8-E i makieta akumulatora. Po tym fakcie przebumelował dwa dni, mimo że decydowały się jego losy - polecą czy nie polecą. Gdy wrócił na uczelnię, wysłuchał słusznej nagany dziekana i za karę przez całą niedzielę odkurzał salę. Dziekan, będący niegdyś załogantem "Anteusza", który trzydzieści lat temu spędził na nim trzynaście miesięcy, uważał, że najbardziej pożyteczna jest kara niosąca w sobie element poznawczy. Oczywiście dziekan nie dzielił się ze studentami wspomnieniami, w których jego żona, konstruktor genetyczny, dziś poważna pani, powiedziała mu "może-może", właśnie przy bloku 8-E.

Makiety bloków uczelnianych były martwe. Blok na "Anteuszu", gdy się przyłoży ucho do jego ciepłego matowego boku, buczy nisko i cicho, niczym odległy trzmiel.

I wówczas zrozumiał, że uczelnia znajduje się tak daleko, że może się wydawać iż on - Pawłysz, leci na "Anteuszu" już sto siódmy rok.

Doktor Wargezi siedział na niewygodnym, wysokim, obrotowym krześle przy kontuarze z probówkami. Sprawdzał gęstość i stan roztworu.

Za jego plecami znajdowała się wanna - ołowianego koloru kula. Od wanny do Ziemi ciągnęła się niewidoczna niteczka. Na drugim jej końcu dyżurny technik sprawdza, czy ubranie dokładnie przylega do ciała, czy nie ma w kieszeniach metalowych przedmiotów, następnie wpuszcza delikwenta do otwartego wnętrza kabiny, przypominającej przecięty kokon - i człowiek staje się na chwilę larwą. Studenci nazywają kabinę "hiszpańską dziewicą", co dowodzi, że któryś poznał historię Inkwizycji, która stosowała "hiszpańską dziewicę" jako środek wyrafinowanych tortur. Przypomina ona postawiony na sztorc sarkofag, najeżony skierowanymi do wnętrza gwoździemi. Gdy delikwent stawał w środku, a obie części "dziewicy" zamykały się - ostrza gwoździ wpijały się w ciało torturowanego.

W kuli nie było jednak gwoździ. Ale były uchwyty.

Wysyłany obiekt musiał być bardzo dokładnie unieruchomiony.

Informacja o jego wymiarach, masie i wadze przekazywana była do kabiny wcześniej - kilka setnych sekundy przed przerzutem.

Gdy po chwili - subiektywnie mogło ono trwać choćby i wieczność - lądowało się, powiedzmy na Antarktydzie, to "hiszpańska dziewica" tak samo mocno trzymała podróżnika w swych giętkich, elastycznych uchwytach. Pewnie dlatego każdemu wydawało się, że żaden przerzut nie miał miejsca.

Na "Anteuszu" kabiny wyglądały nieco inaczej. Tu, aby zabezpieczyć się przed błędami, prawdopodobieństwo których rosło wraz z odległością od Ziemi, człowiek musiał zanurzyć się w wypełnionej gęstym, kisielowatym roztworem wannie. Nie było więc mowy o żadnym ubraniu. Wszystkie nieorganiczne przedmioty wędrowały drugą kabiną, towarową, w niewielkich kontenerach. Wymiary kabin ograniczały możliwości zaopatrzenia statku. W ciągu stu lat na Ziemi powstały znacznie większe kabiny, ale na "Anteuszu" wciąż dominowało stare wyposażenie.

Doktor Wargezi, bezpośredni przełożony i szef praktyki Pawłysza, sprawdzał gęstość roztworu, skład jego musiał dokładnie odpowiadać temu w ziemskim ośrodku. A wiadomo, że po każdym przerzucie dokonywały się w roztworach zmiany spowodowane niemożliwym do uniknięcia kontaktem z ludzkim ciałem.

- Co się stało? - zapytał doktor. - Jeszcze za wcześnie na ciebie.

- Nie, ja po prostu tak sobie - odpowiedział Pawłysz. - Byłem w starej bibliotece i w pustej oranżerii. I na basenie.

- Po co mi to mówisz? - powiedział doktor. - Po przetruciu powinieneś przez dobę wylegiwać się.

- Słowo honoru, że dobrze się czuję. Kiedy przyleci Maquise?

Maquise był z roku Pawłysz. Oni dwaj reprezentowali swój rok na stażu.

- Przecież wiesz. - Wargezi poprawił biały czepek, którego, jak twierdzili złośliwi, nie zdejmował nawet podczas snu, by nie zdradził łysiny. - Tam zawsze coś jest nie tak. Czekałem na Maquise'a, a dociera do mnie wiadomość: odbierajcie biologa Do Do Ki, który jest kobietą z Birmy w średnim wieku. A na liście w ogóle jej nie ma. Przecież wiesz, jak to jest.

Pawłysz nie sprzeczał się, chociaż wiedział, że Wargezi przesadza.

- Widziałem dzikie koty - oświadczył.

- Nie zdziwiłbym się, gdyby żyły tu dusiecie, krokodyle i nietoperze. To istny wykopaliskowy zabytek, a nie statek. Jeśli uda mu się dotrzeć do celu, to będzie to już taka ruina, że wstyd będzie pokazać się ludziom na oczy.

- Myśli pan, że "Anteusz" się rozpadnie?

- Kursancie, wasze dowcipy są nie na miejscu. "Anteuszowi" nic się nie stanie. Chociaż, rzecz jasna, należało już pięćdziesiąt lat temu zawrócić go na Ziemię.

- Dlaczego?

- Współczesne statki poruszają się dwukrotnie szybciej,

- No bo to współczesne. - Pawłysz przyłapał doktora na błędzie logicznym i ucieszył się z tego.

Wargezi, posiadacz ostrego nosa, nie spodobał mu się od pierwszej chwili. Doktor potrafił znaleźć ciemne strony każdej sytuacji. Oczywiście, z psychologicznego punktu widzenia - a Pawłysz miał zajęcia z psychologii - w dużej załodze powinny być wymieszane różne typy emocjonalne. Najprawdopodobniej więc Wargezi trafił tu jako urozmaicenie psychologiczne. Ale Pawłysz miał go dość już od chwili poznania w ziemskim ośrodku przygotowania, gdzie trafili do jednego pokoju w hotelu.

- A kabiny? - Wargezi nigdy się nie poddawał. - Przecież to zeszły wiek!

- Wiele w nich zmieniono.

- Nie zaryzykowałbym taką kabiną podróży do mamy w Mediolanie.

- Ale dotarł pan tutaj.

- Pracują resztkami możliwości. Nie zdziwię się, gdy kabina wysiadzie. Rozumiesz, co to znaczy?

- Raczej by nas tu nie wysłano, gdyby to było takie niebezpieczne.

- Sprawa dotyczy próżności całego globu. - Wargezi podrapał się po nasadzie nosa. Kiedy się złościł, zawsze drapał się w tym miejscu.

"A co ja robią, kiedy się złości?" - pomyślał Pawłysz. Nic mu nie przychodziło do głowy.

- Próżność człowieka należałoby ograniczyć. Zawsze jest coś powyżej: Społeczeństwo, państwo. Ale ofiarą próżności całego globu może stać się nie tylko stetryczały statek, ale i cały kontynent.

"Anteusz" od dawna już nie jest statkiem, a symbolem. Symbolem naszej mocy, symbolem naszej dumy. My, patrzcie tylko, rzuciliśmy wyzwanie Galaktyce! Nie boimy się odległości! A rozum milczy! Po co nam ten "Anteusz" i ta podróż, która straciła sens na długo przed jej zakończeniem?

- Przecież pan wie, że to nie jest tak.

- Udowodnij mi to, młodzieńcze. - Ruchy Wargeziego wciąż były odmierzone i opanowane.

Zanotował wynik analizy, wylał zawartość próbek, odniósł je do zmywarki, zdjął kitel i starannie go złożył. - Udowodnij mi, że nie jesteśmy ofiarami próżności wielu ludzi, z których każdy oddzielnie jest pozbawiony mocy, ale w grupie reprezentują oni efemeryczną substancję, czyli opinię globu!

- Przecież tyle zostało zrobione przez te lata! - Pawłysz nagle poczuł się jak na egzaminie. - Ileż doświadczeń, odkryć. Ile jeszcze można będzie zrobić! W końcu, nawet jeśli statek nie doleci, to sama podróż jest już wielkim wydarzeniem! Przecież pan wie, że dolecimy. I ustawimy tam, na powierzchni planety, kabinę.

- A planeta okaże się niezaludniona!

- Nie ma pustych planet! To będzie pierwsza kabina w Galaktyce. Będziemy mogli przenosić się o miliardy kilometrów, jak byśmy znajdowali się na Ziemi!

- Pusta kabina na pustym globie! Pawłysz rozłożył ręce.

Stanzo, który właśnie wszedł do sekcji i najwyraźniej nieruchomo przysłuchiwał się dyspacie, postanowił wtrącić się:

- Giovanni - powiedział - nie zbijaj z pantałyku młodzieży.

- Niech się hartuje.

- Co cię gryzie?

Stanzo jest szefem ośrodka teleportacji. Wcześniej pracował tu z Wargezim. Stanzo to rzadki wyjątek na statku. Jest tu po raz drugi. Już odstukał jedną wachtę sześć lat temu.

- Grań energetyczna - odpowiedział Wargezi. - Przecież wiesz.

- Myślą nad tym mądrzejsi od nas.

- Nie ma nikogo mądrzejszego od nas - nie zgodził się Wargezi. - A ja twierdzę, że cały ten eksperyment niedługo się sfajczy.

- Dobra, na razie poczekajmy.

Pawłyszowi wydało się, że Stanzo nie chce prowadzić tej rozmowy przy studencie. Jakby na potwierdzenie tego powiedział:

- Jeśli nie jesteś zmęczony, to idź do messy. Tam przydadzą się młode, mocne dłonie.

- Do czego?

- Najprawdopodobniej do siekania sałaty.

7.

W ciągu stu lat "Anteusz" obrósł rytuałami jak poszycie żaglowca skorupiakami.

Jednym z takich tradycyjnych rytuałów był Podwójny Obiad.

Wymiana załogi trwała na "Anteuszu" tydzień. W miarę tego, jak na pokładzie pojawiali się nowi członkowie załogi, "starczy" wracali na Ziemię. Nadchodził taki moment, kiedy mniej więcej połowa wróciła już na Ziemię, a połowa nowicjuszy znajdowała się na pokładzie. Tego dnia, trzeciego dnia wymiany załogi, odbywał się Podwójny Obiad.

Podwójny, ponieważ odbywał się jednocześnie na Ziemi, w Ośrodku Sterującym, i na statku. Na Ziemi połowa nowicjuszy częstowała tych, którzy wrócili z "Anteusza". Na Statku zaś seniorzy częstowali tych nowicjuszy, którzy dopiero co się tu znaleźli. Obiady zaczynały się jednocześnie. Nikt prócz obu załóg nie miał prawa uczestniczyć w obiadach.

Jakość poczęstunku była sprawą nadzwyczaj honorową.

Do obiadu przygotowywano się długo, całymi tygodniami.

O niektórych, najbardziej udanych, krążyły legendy.

Dziesięć lat temu pewna zmiana wyhodowała na "Anteuszu" ostrygi.

Był to wybitny eksperyment biologiczny. Ostrygi zostały wyhodowane w sztucznej morskiej wodzie i musiały osiągnąć odpowiednie gabaryty w ciągu kilku miesięcy.

Serwowano je wówczas na przekąskę. Mało kto je jadł, ale oszołomieni byli wszyscy.

Tym razem obiad był wspaniały, ale nie nieprawdopodobny.

Pawłysz przyszedł do messy, raczej mając nadzieję, że zobaczy Grażynę, niż płonąc z ochoty do pomocy. Ale Grażyny tu nie było, okazało się, że przekazywała wachtę zmiennikowi. Wkrótce z messy Pawłysz został po prostu przepędzony - jego obecność tam była złamaniem tradycji. Wtedy świadomie naruszył dyscyplinę. Niespecjalnie mocno, ale jednak niedopuszczalnie. Ruszył mianowicie do sekcji grawitacyjnej.

Droga zajęła mu sporo czasu. Mimo że rozmieszczenie pomieszczeń statku było Pawłyszowi znane, to w rzeczywistości wszystko wyglądało zupełnie inaczej niż na planach czy schematach. Pawłysz wyobraził sobie położenie sekcji grawitacyjnych względem messy, ale drzwi, które miały łączyć te miejsca były zamknięte. Postanowił przejść przez sterówkę, ale pomyliwszy korytarze, trafił do mrocznej sali komputerowej, gdzie w niskich fotelach siedzieli dwaj nawigatorzy.

Pawłysz znieruchomiał na progu.

Oczywiście mógł wejść i zapytać, jak się idzie do grawitacji, ale wyglądałby niezręcznie, jak błądzący po pokładzie chłopczyk.

Stał więc nieruchomo, usiłując wyobrazić sobie, dokąd powinien teraz skierować swoje kroki.

- Nie było potwierdzenia - powiedział jeden z nawigatorów.

- Jeśli odwołano, to nie będzie potwierdzenia.

- Dlaczego?

- Coś się stało. A jeśli tak, to grawigramy nie docierają.

- Myślisz, że to awaria?

- Niewyobrażalne. Zawsze jest możliwość przerzucenia energii z tarczy antarktycznej.

Rozległ się dźwięk brzęczyka.

Nawigator wyciągnął rękę, przejechał nad pulpitem dłonią, przyjął wywołanie.

Pawłysz widział, jak na ekranie wideofonu zarysowało się oblicze Kapitana-1. To znaczy kapitana ze starej zmiany. Teraz na pokładzie są obaj kapitanowie, ale nowy przejmie dowodzenie dopiero ostatniego dnia. Kapitan-1, Żelazny Lech, zapytał z ekranu wideofonu:

- Nie ma fluktuacji kursu?

- Proszę się nie łudzić, kapitanie - powiedział nawigator. - Wszystko sprawdzone.

- Dlaczego oni milczą? - zapytał drugi nawigator.

Kapitan-1 nic nie odpowiedział. Wyłączył się.

Pawłysz uznał, że lepiej będzie, gdy zniknie. Właśnie zrozumiał - coś się stało.

Najprawdopodobniej z łącznością. Ci trzej byli zaniepokojeni.

Brakowało tylko, żeby sprawdziły się przepowiednie Wargeziego.

Pawłysz zamyślił się, ale nie tak mocno, by zapomnieć o celu swych poszukiwań.

W sztolni windy dał się słyszeć jakiś szelest - ktoś przemieszczał się do góry. Pawłysz zatrzymał się. Dach windy podjechał do góry, pokazała się otwarta kabina. Stała w niej Grażyna i druga dziewczyna, niewysoka brunetka, o stromej piersi i brązowych oczach.

Dziewczyny zobaczyły Pawłysza.

- Jedź z nami - powiedziała Grażyna. - Poznaj Armine. Pracujemy razem.

Pawłysz wszedł do wolno przemieszczającej się windy.

- Co tu robisz? - zapytała Grażyna.

- Szukałem cię.

- Tu? - Grażyna wpatrywała się w niego uważnie.

- Wstąpiłem do sterówki.

- Nawigatorzy nie lubią postronnych.

- Nie wchodziłem.

- To nielogiczne. Po co wstępowałeś, skoro nie wchodziłeś?

- Nawigatorzy rozmawiali o czymś, nie chciałem przeszkadzać.

- Jesteś czymś zaniepokojony?

- Nie mamy łączności z Ziemią.

Najpierw postanowił, że nikomu nie powie o tym, co podsłuchał, ale język sam to powiedział. Człowiek mający coś nowego do powiedzenia zawsze wydaje się kobiecie bardziej interesujący od tego, który nie ma nic do zaoferowania.

- Tego jeszcze brakowało - oburzyła się Grażyna. - To niemożliwe. Coś poplątałeś.

Podczas obiadu, który - zgodnie ze zwyczajem - był wspaniały, ale tym razem nie sensacyjny, okazało się, że Pawłysz miał rację.

Po pierwszych toastach i przemowach, rytuał których był opracowany wiele lat temu, nadeszła kolej na Kapitana-1.

Powiedział, jak należało, że przekazuje statek Kapitanowi-2 i nowej załodze, mając nadzieję, że nie będą oni mieli pretensji do poprzedniej obsady.

Następnie powinien był powiedzieć, jak przyjemnie będzie mu spotkać się za rok na Ziemi. Ale Kapitan -1 nagle zamilkł. A potem powiedział zupełnie innym tonem:

- Dzisiaj otrzymaliśmy z Ziemi grawigram.

Pawłysz siedział akurat naprzeciwko Kapitana -1. Gdy wszyscy siadali, długo stał, udając, że syci oczy górą sałaty. W rzeczywistości chciał zobaczyć, gdzie siada Grażyna. Już zaczął odliczać minuty do rozstania i wyobrażać sobie, jak pusty będzie statek bez jej osoby, ale wyszło jakoś tak, że Grażyna zaczęła rozmowę z nieznanymi Pawłyszowi grawitacyjniakami ze starej załogi i zupełnie zapomniała o nim. I usiadła między tymi chłopakami. Tak więc Pawłysz zmuszony był usiąść daleko od niej, niemal na końcu stołu, naprzeciwko Kapitana-1.

- Co się stało? - zapytał Wargezi. Zapytał ponurym tonem, jakby wcale nie pytał, a wygłaszał swoje: "A uprzedzałem".

Grawigramy są rzadkimi gośćmi na statku.

Żeby wysłać przekaz na taką odległość, trzeba zużyć koszmarną ilość energii. Niezaplanowanych grawigramów nie powinno się wysyłać dlatego, że przecież przesyłany człowiek z nowej zmiany już za godzinę dostarczy wszelkich wiadomości. Skoro więc na Ziemi nie czekano na przesłanie ludzi, to znaczy, że coś się wydarzyło.

- Grawigram dotarł niecały - powiedział Kapitan-1. To był niewysoki mężczyzna i dlatego stał, opierając się rękami o stół.

Malutki, szczupły, żyłasty facet. Kilka lat temu to on właśnie ustawił kabinę na Plutonie.

- Grawigram jest urwany - powtórzył. - Jego treść jest taka:

"Przerzut odkładamy..."

- To niemożliwe! - powiedział ktoś cicho w odległym końcu stołu.

9.

O siedemnastej czasu pokładowego Pawłysz znajdował się obok kabiny.

Tu nie był turystą. Pracował.

Właściwie - czekał, czy będzie jakaś praca. Jego działania lekarza zaczynały się w chwili, kiedy w wannie materializował się astronauta. Aż do tego momentu Pawłysz tylko dublował Stanza.

Z Ziemi nie nadeszło więcej ani jedno słowo. Wiadomo było, że z przerzutu nici.

Tym niemniej wszyscy na "Anteuszu" zachowywali się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Tak zdecydowali kapitanowie. O siedemnastej pracownicy ośrodka teleportacji znajdowali się na swych posterunkach, gotowi do odbioru.

W odróżnieniu od normalnej procedury, tym razem obecni byli obaj kapitanowie.

W ciągu stu sześciu lat lotu nie zdarzyło się jeszcze ani jedno odwołanie przerzutu. Przy stole, kiedy pojawiło się kilka hipotez, kiedy wypowiedziano mądre i niemądre słowa, dotyczące tego, co mogło się wydarzyć, przypominano sobie, że pewnego razu zamiast jednego kosmonauty, przyjęto drugiego. Pierwszy niespodziewanie zachorował. Dlatego na pokładzie postanowiono zachowywać się, jak gdyby grawigramu w ogóle nie było. O siedemnastej dwadzieścia sześć Pawłysz wyłączył swoje stanowisko - kontroler-bis. Stanowisko wysłało na display parametry systemu. Pawłysz czekał na komentarz Stanza. - Parametry w normie - powiedział ten. Siedział przy głównym pulpicie. - Gotów do przyjęcia. Pawłysz zerknął na mierniki Stanza, przeniósł wzrok na swoje, identyczne dane. - Kontroler-bis gotów do przyjęcia - potwierdził słowa Stanza. Była siedemnasta dwadzieścia siedem. - Roztwór w normie - rzekł Wargezi. Reszta była sprawą automatów. To były najdłuższe minuty w życiu Pawłysza. - Czas - powiedział technik o nazwisku Johnson. - Czas - powtórzył Stanzo. Kabina odbiorcza była martwa. Poczekali jeszcze siedem minut. Rozmawiali, czując nawet pewną ulgę - przed decydującym momentem panowało tu nieznanie. Prognoza potwierdziła się - przerzut się nie odbędzie. I już nie było na co czekać. Kapitanowie odeszli. Żyłasty Kapitan-1, któremu nie sędzone było wydać rozkaz, i Kapitan-2, wysoki, szczupły, bardzo młody - nawet może za młody z punktu widzenia Pawłysza. A po pięciu minutach Kapitan-1 przez komunikator wewnętrzny zwołał obie załogi do messy. Na posterunkach pozostali tylko dyżurni. Kabin pilnował Stanzo.

10.

Stół był już sprzątnięty.

Tylko obrus pozostał na długim stole. I krzesła dokoła stołu. Kucharz podał kawę. Pawłysz usiadł obok Grażyny.

Wargezi milczał. Pawłysz oczekiwał, że ten będzie popisywał się elokwencją, ale doktor milczał.

Kapitan-1 powiedział:

- Nie rezygnowaliśmy z odebrania przerzutu, ale kabina nie pracuje. Nie otrzymaliśmy więcej grawigramów. Nie wiemy, ile czasu będzie trwała ta sytuacja i nie wiemy, co ją wywołało.

Jeszcze wczoraj wszystko było w porządku.

Pawłysz skinął głową, chociaż nikt nie widział tego skinienia. Chciał powiedzieć, że wczoraj on właśnie przyleciał jako ostami z załogi. I nic szczególnego na Ziemi się nie działo. Padał deszcz.

Kiedy Pawłysz biegł z ośrodka do bazy przerzutowej, zdążył przemoknąć do suchej nitki. Pod kabiną czekała na niego Świetlana Pawłowna, operatorka. Podała mu frotowy ręcznik i

powiedziała: "Wytrzymaj się. Nie wypada pojawiać się w mokrym widzie na drugim końcu

Galaktyki". Pawłysz tak się denerwował, że nie zauważył nawet, jak znalazł się w szatni, jak

poszedł oddać swoje rzeczy do kontenera i zapomniał zwrócić ręcznik, więc Świetlana musiała biegać za nim.

- Na razie nie mamy żadnych danych co do natury tego... -Kapitan szukał właściwego słowa - ... incydentu. Dlatego tymczasowo traktujemy naszą mieszaną załogę, jak stałą załogę statku i

przystępujemy do normalnych zajęć. Gdy tylko nadejdą jakieś nowe wiadomości, natychmiast powiadomimy wszystkich. Zebrani podnieśli się.

- Cieszę się - powiedział Pawłysz, gdy podeszli do drzwi.
- Z czego? - zapytała Grażyna.
- Nie możesz odlecieć.
- Odlecę. Przy pierwszej możliwości.
- Na Ziemi usłyszano moje modlitwy - oświadczył Pawłysz.
- Nie podzielam twych modlitw. - Grażyna patrzyła mu prosto w oczy.
- Masz na Ziemi kogoś? Czeka na ciebie?
- Potrafisz być nietaktowny! Podeszła do nich Armine.
- Boję się - powiedziała.
- Tego jeszcze brakowało! Nic nam nie grozi - odezwała się Grażyna, natychmiast zapomniawszy o Pawłyszu.

Armine była blada, wyraźnie widać było ciemny puch nad górną wargą. "Dziwne - pomyślał Pawłysz. - Czego tu się bać?"

11.

Pawłysz wrócił do kabiny.

Sądził, że będzie przy niej tylko Stanzo, ale był tam już i Johnson, i Wargezi. I jeszcze dwaj kabiniarze z poprzedniej zmiany.

Stanzo powiedział, że Pawłysz słusznie postąpił, przychodząc. Trzeba "przedzwonić" wszystkie zaciski. Nawet przy potrójnym dublowaniu mogło wydarzyć się coś nieprzewidzianego.

Zaczęli działać. To było nudne zajęcie, zrozumiałe i niepotrzebne, ponieważ jego wykonywanie negowało ostatni grawigram z Ziemi.

Najpierw wszyscy pracowali w milczeniu, oddzieleni od siebie przegródkami i korpusami bloków. Potem zaczęto rozmawiać. Jedną z właściwości człowieka to budowanie hipotez, ale najważniejszego przypuszczenia, które wisiało na końcu języka każdego z nich, jakoś nie wypowiadano głośno. Pierwszy zaczął o tym mówić Pawłysz.

Jako najmłodszy. Ponieważ na starych statkach - w messie - pierwszy zabierał głos podczas rady wojennej najmłodszy oficer. A ostatnie słowo należało do kapitana.

- Czytałem artykuł Dąbrowskiego - rzekł Pawłysz. Zrobiło się cicho. Wszyscy usłyszeli jego słowa. Potem Pawłysz usłyszał głos Stanza:

- Kontrargumenty były przekonujące.

- Po prostu kpili z niego - odezwał się rozdrażnionym tonem Wargezi. - A to przecież nie jest chłopczyk ze szkoły, przeliczył wszystkie warianty.

- Ale nie wolno zapominać - to odezwał się Johnson - że według jego obliczeń granica przerzutów powinna była nastąpić już sześć czy siedem lat temu.

- Sześć - odezwał się Pawłysz. - Punkt krytyczny "Anteusz" już minął.

Artykuł, o którym rozmawiano, był skazany na wąski krąg odbiorców, ponieważ został wydrukowany w Komunikatach Wrocławskiego Instytutu Łączności Kosmicznej, a i sam Dąbrowski nie był przecież kabiniarzem. Ale tekst wpadł w ręce dziennikarzowi specjalizującemu się w popularyzacji nauki, a dziennikarz ten zrozumiał, o czym w tekście jest mowa.

Dąbrowski rozpatrywał teoretyczny model łączności grawitacyjnej. Z jego umownych i wielce nieortodoksyjnych założeń wynikało, że fale grawitacyjne - nośniki teleportacji - miały w Galaktyce określony energetyczny zasięg. Twierdził, że konstruktorzy statku popełnili błędy w swoich obliczeniach. I że łączność z "Anteuszem" nieuchronnie ustanie.

Artykuł został opublikowany około dziesięciu lat temu.

Dziennikarz, który wygrzebał gdzieś artykuł, dotarł do Dąbrowskiego, który opowiedział przystępnym językiem, co miał na myśli. Następnie dziennikarz odbył rozmowy z oponentami autora, którzy wskazali na trzy oczywiste błędy w jego obliczeniach. Ten właśnie spór został opublikowany.

Argumenty oponentów Dąbrowskiego wyglądały znacznie bardziej przekonująco niż jego obliczenia, sam tekst wywołał dyskusje i polemiki, które formalnie zakończyły się porażką Dąbrowskiego. Co prawda, najpoważniejsi matematycy twierdzili, że w jego obliczeniach coś jest. Poza tym jego teorię potwierdzał fakt, że wydatki energii na łączność i (deportację roślin) szybciej niż to zakładano na początku.

Ponownie o artykule przypomniano sobie cztery lata później, kiedy, jeśli wierzyć Dąbrowskiemu, łączność miała się urwać. Łączność nie urwała się, ale miał miejsce istotny skok w wydatkowaniu energii. Oponenti Dąbrowskiego odetchnęli z ulgą, ale i jego stronnicy nie umilkli.

I tak minęło kolejnych sześć lat.

- Nawet jeśli on nie ma racji - powiedział Wargezi - to lot w tych warunkach jest zwyczajnym marnowaniem energii. Każdy przerzut kosztuje teraz tyle, co wzniesienie wieży babilońskiej.

- Na szczęście nie potrzebujemy wieży babilońskiej - zauważył Stanzo.

- A czy może tak się stać, że zostaniemy teraz sami? - zapytał Pawłysz. - Mam na myśli, jeśli Dąbrowski ma jakąś tam rację?

Odpowiedziało mu milczenie.

- A jeśli tak, to co możemy zrobić? - zapytał Pawłysz po długiej pauzie.

- Wiadomo, co - powiedział Wargezi. Ponownie nikt się nie odezwał.

Ale ponieważ Pawłysz nadal nie wiedział, co to znaczy, powtórzył pytanie.

- Wracać - powiedział Stanzo.

12.

Na kolację w messie zeszli się wszyscy wolni od wacht członkowie załogi. Kolacja była z gatunku "imieniny na sucho" - składała się z resztek obiadowej uczy. Pawłysz przybiegł jako jeden z pierwszych i wiercił się, czekając, aż przyjdzie Grażyna, Przyszła Armine, bardzo smutna, i powiedziała, siadając obok Pawłysza:

- Grażyna nie przyjdzie.

- Zmęczona?

- Zła.

- Dlaczego?

- Przecież wiesz - powiedziała Armine. - Rozmawialiśmy z naszymi nawigatorami. Wyobrażasz sobie, ile czasu stracimy na wykonanie zwrotu statku?

- Nie myślałem o tym.

Rozmawiali cicho i wydawało się im, że nikt ich nie słyszy. Ale usłyszał biolog siedzący naprzeciwko.

- Dwa miesiące - powiedział. - Co najmniej dwa miesiące. Nawigatorzy siedzą teraz nad obliczeniami.

- Pewnie więcej niż dwa miesiące. I nie wiadomo, ile trzeba będzie lecieć z powrotem, żeby wróciła łączność. Przedział Dąbrowskiego jest dość rozległy.

Pawłysz zdziwił się. Wydawało mu się dotąd, że tylko w ich sekcji ktoś wpadł na pomysł połączenia wydarzeń na pokładzie "Anteusza" z teorią Dąbrowskiego. Okazało się, że wszędzie na statku myślano podobnie.

- Co w tym strasznego? - zapytał Pawłysz. - Dwa, trzy miesiące polatamy razem.

- Ale myśmy liczyły, że jutro będziemy w domu.

- Po co ten pośpiech?

Lekkomyślność czasem waliła się na Pawłysza jak atak choroby. Potem sam sobie się dziwił, dlaczego poważne myśli uciekają gdzieś.

Armine nałożyła mu na talerz sałaty.

- Chcesz powiedzieć, że się cieszysz?

Pawłysz zrozumiał, że zachowuje się głupio. Nie było z czego się cieszyć. Znalazł się w tej nieszczęśliwej zmianie, która być może, kończyła lot - wielki, trwający wiek zryw ludzkości, która potknęła się o krok od celu.

- Przeklęty Dąbrowski - powiedział Pawłysz.

- Nie wiem, kiedy udajesz, teraz czy wcześniej - westchnęła Armine - ale rzeczywiście to tragedia. Zawsze sądziłam, że odwiedzę inne światy. Myślałam, że jeszcze nie będę stara, kiedy wyjdę z kabiny na innej planecie. Wyobrażasz sobie, ile lat i ile wysiłków?! I wszystko nadaremnie.

- Nie nadaremnie! - zaproponował Pawłysz. - A poza tym można mnie zrozumieć, jestem fatalistą.

- To znaczy?

- Jeśli nie mogę nic zrobić, to nie tłukę łbem o ścianę. Rozważam to, co w mojej mocy.

- A co jest w twojej mocy?

- Trzeba szukać pocieszenia. Tak, lot się skończy, ale przecież będziemy razem, razem polecimy z powrotem. A potem, kiedy łączność wróci, może okazać się, że alarm był przedwczesny i statek ponownie poleci do gwiazd.

- Nie - powiedziała Armine.

- Dlaczego?

- Obliczyliśmy już, że hamowanie, zawrócenie i powrót na stary kurs pochłonie wszystkie zapasy statku. Przecież "Anteusz" jest obliczony na jeden lot. Po jakimś czasie trzeba będzie go zatrzymać.

Pawłysz skinął i zaczął pić herbatę.

Nie mógł wszak przyznać się Armine, której czarne brwi tragicznie załamywały się nad nasadą nosa, że on nie odczuwa żadnego niepokoju i dyskomfortu. Najważniejsze, że Grażyna zostaje na statku. Dwa, trzy miesiące... potem się zobaczy.

- Coś wymyślimy - powiedział Pawłysz ku zdziwieniu Armine. - Szkoda, że Maquise nie przyleciał. Przyjajmy się od pierwszego roku.

13.

Następny dzień na statku przebiegał normalnie, zgodnie z tradycją.

Zastępca Kapitana-2 wezwał do siebie Pawłysza, Johnsona i jeszcze jednego stażystę - bioelektronika.

Pawłysz wiedział, po co.

Zastępca kapitana, niezbyt rozmowny, nawet mrukliwy, poprowadził ich do kapciory. Wręczył każdemu spryskiwacz kleju, gąbki, butle, chwytaki.

Robotów na statku było za mało, dlatego każda zmiana zaczynała się od prac kosmetycznych.

Plastikowe obicia gdzieniegdzie uległy zniszczeniu; należało je podkleić, wyczyścić, w razie potrzeby wymienić. Może korpus statku, konstrukcja i silniki wytrzymają sto lat i więcej, ale wszystkich drobiazgów przewidzieć się nie da. Ulegały zniszczeniu naczynia, meble, tkaniny...

Poza tym na statku był kurz.

Pawłyszowi przypadła sala gimnastyczna.

Kiedy ruszał w jej kierunku, zastępca kapitana powiedział:

- Oszczędzaj klej. I piankę.

- Dlaczego?

- A możesz mi powiedzieć, kiedy będzie następna dostawa?

- Jak każdy zastępca do spraw gospodarczych, tak i ten ulegał manii asekuracji. Ale w jego słowach rozbrzmiała ta niepewność, która stopniowo opanowywała załogę statku.

W sali gimnastycznej na macie walczyli dwaj mechanicy, a Armine starała się wykonać salto na równoważni. Za każdym razem nie utrzymywała się i spadała na materac. Pawłysz wolno poszedł wzdłuż ściany, sprawdzając, czy plastik nie odstaje gdzieś przypadkiem. Na statku panowała zasada -jeśli możesz nie przeszkadzać, nie przeszkadzaj. Kiedy przyjdzie ci spędzić rok w metalowej puszcze z trzydziestoma innymi ludźmi, najlepszą bronią przeciwko konfliktom jest delikatność.

Ściana na prawo od wejścia pełni funkcję szczególną. Na niej złożyli podpisy wszyscy członkowie załogi "Anteusza". Ktoś dawno temu obliczył, ile miejsca będą wymagały podpisy wszystkich i dlatego podpisy z pierwszych lat znajdowały się wysoko, pod sufitem. Ale ten, kto to zaplanował, nie uwzględnił, że na statku za każdym razem będzie mniej ludzi. Tak więc ostatnie podpisy znajdowały się na wysokości piersi. Do podłogi makatka z autografów nie dociągnie.

Pawłysz zatrzymał się pod ścianą z podpisami. Bez drabinki nie dało się odcyfrować podpisów tych pierwszych kosmonautów. Ale podpis obywatelki Grażyny Tyszkiewicz - proszę bardzo - na wprost oczu.

Armine Nałbandian stoi obok.

- Nie jesteś dziś w brygadzie remontowej? - zapytała.

- A kiedy się składa podpisy? - odpowiedział pytaniem Pawłysz. - Na początku czy na końcu zmiany?

- Masz prawo podpisać się już teraz - powiedziała Armine.

- Ale zazwyczaj robi się to przed odlotem.

- Poczekam - zdecydował Pawłysz. - Ale chcę, żeby mój podpis był obok imienia Grażyny.

- Jesteś sentymentalnym studentem.

- A ty?

- Moje serce jest daleko stąd - przyznała Armine. Milczała chwilę, wpatrując się sobie pod nogi, potem dodała: - I nie udało mi się opanować salta.

- Całe życie przed tobą - uspokoił ją Pawłysz. - Przy tym, kiedy będziemy zawracać, będziesz mogła jeszcze potrenować.

- Czuję, że nie przeżyję tego - powiedziała Armine. - W myślach już jestem na Ziemi. Jakby wszystko to tutaj tylko mi się śniło. Taki sobie nieprzyjemny sen.

- A ja w nim to koszmarny potwór?

- Nie jesteś zły - powiedziała Armine. - Nie rozmawiałabym z tobą, gdyby tak nie było.

- Grażyna też tak sądzi?

- Nigdy nie wiem, co tak naprawdę sądzi Grażyna. Ona się bardzo boi, że ktoś ją uzna za słabą kobietę.

- A ty?

- Ja się boję utyc. Komu się spodobał gruba? - Jej pulchne wargi drgnęły i rozciągnęły się w uśmiechu, ale brązowe oczy pełne były smutku.

- Nie jesteś gruba, jesteś... mocno zbudowana - powiedział Pawłysz.

- To wcale nie jest komplement. Pracuj, nie będę ci przeszkadzała. Jeszcze trochę poskaczę.

Armine odeszła do równoważni, a Pawłysz zaczął jeździć sondą po ścianach, sprawdzając, czy nie odstaje gdzieś okleina.

Potem znowu znieruchomiał.

Przed Czarną Skrzynką. Czy - skarbonką, jak kto woli.

Skrzynka stała w kącie.

Na jej wierzchu widniała szczelina, jakby przeznaczona na monety, ale monety ogromne, mniej więcej wielkości talerza. A i sama skarbonka sięgała Pawłyszowi do pasa.

Tu każdy odchodzący z "Anteusza" mógł wrzucić coś na pamiątkę z rejsu, jakiś przedmiot, który chciał wysłać do Alfego Łabędzia. Jedni zostawiali liściki, inni jakiś znaczek czy kasetę z ulubioną piosenką. Albo chusteczkę do nosa. Albo wyciętą z drzewa figurkę czy też swoje zdjęcie.

Kiedy "Anteusz" doleci do tej planety, Czarną Skrzynkę wyniosą i zakopią w jej gruncie. I nikt nie będzie wiedział, co posłał ten czy ów jego pasażer. Najważniejsze, by pozdrowienia i prezenty dotarły na miejsce.

14.

- Nie czas teraz roztrząsać, czyja to wina - powiedział Kapitan-2. - Ale przez noc wykonaliśmy inwentaryzację majątku statku. Czasem dobrze jest zrobić remanent. O ile więc zapasów żywności, uwzględniając produkcję cieplarni i hydroponiki, wystarczy na długo, woda w zamkniętym cyklu też nie jest problemem, to zapasy wielu innych potrzebnych rzeczy na "Anteuszu" zbliżają się do końca.

- Co, na przykład? - zapytał Johnson.

- Na przykład mydło - powiedział Kapitan-2. To był tak nieoczekiwany komunikat, że Johnson zachichotał.

- Mleko zagęszczone - powiedział Kapitan-1. - Bielizna.

- I wiele innych - zakończył Kapitan-2.

- Przyślą - wyszeptał Pawłysz do Armine.

Armine usiadła obok niego. Pawłyszowi wydawało się, że znajają już całe wieki. Przy niej czuł się bezpiecznie i nie był skrupowany. Nie to, co z Grażyną. Siedziała z boku i w ogóle go nie zauważała.

- Kiedy przyślą? - zapytała również szeptem Armine. - Przecież nie wiemy.

- Chcemy powiedzieć o kilku jeszcze rzeczach na temat stanu statku. Nie ma podstaw do alarmu, ale pewne podstawy do niepokoju są.

Kapitan-2 wyjął żółtą kartkę i zaczął odczytywać długą listę posiadanych zapasów oraz części zapasowych do przyrządów. Pawłysz zerkał na Grażynę, mając nadzieję, że i ona popatrzy w jego stronę. Kiedy Kapitan-2 skończył odczytywać listę, głos, zabrał Kapitan-1.

- Zapoznaliśmy was z sytuacją - powiedział - ponieważ stoimy przed dylematem. Decyzja pierwsza: zaczynamy hamowanie i zawracamy statek. Ta operacja zajmie nam sześćdziesiąt osiem dni, po czym możemy zacząć powrót do Ziemi, po dwudziestu sześciu dobach docierając do miejsca, gdzie otrzymaliśmy ostatni grawigram z Ziemi.

- Trzy miesiące - podliczył Pawłysz.

Oczywiście, można zarzucić Pawłyszowi, że jest lekkomyślny, że jest płytki i że los wielkiej sprawy nie interesuje go wystarczająco poważnie, a interesują go wyłącznie zielone oczy Grażyny. Ale fakt pozostaje faktem: dopiero słysząc, jak kapitan spokojnie, beznamiętnie oblicza i sumuje odcinki czasu manewru, podkreślając konieczność oszczędzania, ponieważ nie wiadomo, kiedy łączność wróci do normy, Pawłysz nagle pojął - ale nie rozumem, a wewnętrznym, sam dla siebie - że naprawdę "Anteusz" już nie doleci do Alfego Łabędzia. I wszystkie poematy o tym locie, wszystkie książki i memuary, wszystkie filmy i obrazy, wszystko

to nie ma sensu. I wysiłki tych ludzi, którzy zbierają się co roku na spotkanie z "anteuszowcami" też nie mają sensu, to znaczy... prawie nie mają sensu. Nie, nikt nie będzie negował wartości naukowej samej podróży, ale w swoim czasie odbyło się wiele wypraw do bieguna północnego. I do bieguna południowego. Nie docierały te ekspedycje do celu, ale wyniki ich wypraw, ich osiągnięcia były olbrzymie. Ale zapamiętano tylko Amundsen i Scotta - tych, co dotarli do celu. Dlatego, że skoro ogłosiłeś, że twoim celem jest biegun północny, to - proszę bardzo - racz dotrzeć do celu.

- Istnieje alternatywa. - Pawłysz zamyślił się i nie od razu usłyszał, co powiedziała Grażyna. Dziewczyna wypowiedziała te słowa pełnym napięcia głosem, jakby zdecydowała się ogłosić tajemnicę, o której nie należało mówić głośno.

- Wiem - spokojnie powiedział Kapitan-2. - I tę alternatywę rozpatrywaliśmy również i chcemy ją przedyskutować.

"Polecimy dalej - pomyślał nagle Pawłysz, chociaż jeszcze sekundę wcześniej nawet mu to do głowy nie przychodziło. - Polecimy, mając nadzieję, że zaszła jakaś pomyłka, awaria. I za kilka dni, może miesięcy, łączność zostanie przywrócona".

- Istnieje instrukcja - kontynuował Kapitan-2 - na okazję zerwania łączności. Przewiduje ona jedno wyjście. Zawrócenie. Ale... - Kapitan-2 popatrzył na Pawłysza, jakby zwracał się tylko do niego - ... instrukcja nie przewiduje, że mogło to się stać tak blisko celu.

- Stosunkowo blisko - powiedział Wargezi,

- Stosunkowo blisko - zgodził się Kapitan-2 - ale jednakże tak blisko, że istnieje możliwość kontynuacji lotu.

Stanzo, siedzący nieopodal, westchnął. Pawłysz miał wrażenie, że z ulgą. Czyżby też myślał o takim rozwiązaniu?

- Dopuszczamy - ciągnął Kapitan-2 - że za kilka dni albo tygodni łączność zostanie przywrócona. Pod warunkiem, że jej zanik jest przypadkowy. Ale musimy też uwzględnić inny wariant.

Przypuścimy zatem, że Dąbrowski ma rację.

Kapitan-2 zamilkł, podniósł szklanke, nalał sobie wody i wypił. W sali panowała całkowita cisza. I w tej ciszy doktor Wargezi zadał pytanie:

- A gdzie jest granica takiego oczekiwania? Ile czasu będziemy lecieli, testując naukową kompetencję fizyka Dąbrowskiego? Miesiąc? Rok? Ile czasu będziemy czekali? Póki nie wypijemy ostatniej puszki skondensowanego mleka?

- Sądźmy - Kapitan-2 ostrożnie odstawił szklanke na stół, jakby bał się ją rozbić, zmniejszając tym samym zapas naczyń na statku - że nie powinniśmy w tym przypadku określać jakiegoś przedziału czasowego. Powinniśmy założyć, że koniec tego okresu to system gwiazdny Alfy Łabędzia.

- To znaczy? - Ton Wargeziego stał się dobitniejszy, jakby żądał od kapitana przyznania się do winy. - Proszę powiedzieć, ile to lat?

- Trzydzieści lat - powiedział kapitan.

- Nie - głośno oświadczył Wargezi. - Dwadzieścia sześć. Dwadzieścia sześć lat. Powinniśmy rozpatrywać najgorszy wariant: lot do celu, uruchomienie nikomu niepotrzebnej kabiny i powrót do granicy Dąbrowskiego.

I ta, i druga liczba były dla Pawłysza abstrakcjami. Rok - to dużo. Rok. A dwadzieścia sześć... dwadzieścia sześć lat temu, jak mawiał ojciec, nie było go jeszcze nawet w projekcie.

Pawłysz pomyślał, że zaraz zacznie się gorąca dyskusja, ktoś okaże strach, ktoś się ucieszy.

Grażyna krzyknie: "Nie!". A Pawłysz? Pawłysz był jakby obserwatorem stojącym z boku. Patrzył na tę scenę skądś z daleka i nawet głos kapitana, rozbrzmiewający w całkowitej ciszy, dochodził doń jak przez watę.

- Wariant, jaki obecnie rozpatrujemy - mówił on - powstał nie od razu. Najpierw obliczaliśmy rozwiązanie naturalne...

Pawłysz przyłapał się na tym, że - będąc ciągle postronnym obserwatorem - zaczyna obliczać. Patrzył na Stanzo i liczył. Stanzo ma czterdzieści trzy lata. Czterdzieści trzy plus dwadzieścia sześć - sześćdziesiąt dziewięć. To nie jest jeszcze starość, ale wiadomo, że w zamkniętej przestrzeni "Anteusza", a wykonane były odpowiednie eksperymenty, starzenie się organizmu zachodzi szybciej niż na Ziemi. Jak będzie wyglądał Stanzo, mając siedemdziesiątkę na karku? Będzie siwobrodym starcem?

"Kapitan-2 - myślał Pawłysz - jest znacznie przed czterdziestką. Może dlatego nie on przemawia, a kapitan Lech, który ma pięćdziesiąt. Może nawet umrze i nigdy nie wróci na Ziemię? Będziemy lecieli i lecieli, a Kapitan-1 umrze ze starości..."

- Sto sześć lat temu - powiedział Kapitan-2 - na Ziemi miało miejsce znaczące wydarzenie, może jedno z ważniejszych w jej historii. Został wyekspediowany pierwszy gwiazdolot. Wszyscy wiedzieli, ile lat będzie musiał lecieć. Ci, co uczestniczyli w jego budowie i wysyłali go, wiedzieli, że nigdy nie zobaczą swego triumfu. Robili to dla nas, swoich potomków. Wiele tysięcy ludzi leciało tym statkiem, a my sądziliśmy, że wkrótce ustawimy kabinę w gwiazdozbiorze Łabędzia i Ziemia wykona niewiarogodny skok do przodu. Ludzkość stanie się naprawdę gatunkiem galaktycznym. - Kapitan mówił wolno i wyraźnie, jakby odtwarzał z pamięci wykuty tekst. - Kilka pokoleń ludzi na Ziemi rosło ze świadomością, że ten krok zostanie wykonany. Ja pewnie niezbyt dobrze wyjaśniam wam, o co chodzi, bo przemówienia nie są moją specjalnością. Wiem tylko, że w tej chwili kilka miliardów ludzi czeka na realizację tego marzenia. Ale gdzieś wystąpił błąd. To najbardziej prawdopodobne, że błąd. Nie może przecież wszystko iść tak gładko, ale błąd nie jest tragiczny. Nie jest tragiczny dla poszczególnych ludzi, ale tragiczny dla ludzkości.

- Ludzkość żyje i będzie istniała jeszcze dość wiele lat - zaproponował Wargezi.

- Tak, wiem. I wiem też, że współczesne statki polykają tę przestrzeń niemal dwukrotnie szybciej niż "Anteusz", że można było zbudować nowy statek. Ale policzmy to razem. Budowa "Anteusza" trwała szesnaście lat. Przypuśćmy, że budowa nowego statku zajmie nawet dwa razy mniej, nawet trzy razy mniej czasu. To pięć lat. Sam lot, pół wieku.

- Więcej - powiedział mechanik ze starej zmiany. - Praktycznie to siedemdziesiąt lat. Już o tym myślałem.

- Przez siedemdziesiąt lat żaden człowiek nie zobaczy gwiazdy.

- To jeszcze nie tragedia.

- Oczywiście, że nie, doktorze Wargezi - skinął głową kapitan. - Nazwijmy to rozczarowaniem. Nazwijmy rozczarowaniem również te środki, które pochłonął nasz lot. A były lata, kiedy stanowiło to niemal jedną czwartą zasobów energetycznych Ziemi. Ziemia ponosiła określone ofiary względem "Anteusza".

- Próżność globu jest nawet gorsza od próżności pojedynczego człowieka - oświadczył Wargezi. Pawłysz przypomniał sobie, że Wargezi już to niedawno powiedział, ale wtedy te słowa brzmiały zupełnie inaczej.

- Nazwijmy to marzenie próżnością, to nic nie zmieni - powiedział kapitan. - Ale żyją miliony i miliony ludzi, którzy czekają.

- A my? - odezwała się nagle Grażyna. - My też czekamy. Może nawet bardziej od innych.

- Zgoda - powiedział Kapitan-2. - Ja, na przykład, bardzo czekam. "Anteusz" w znacznym stopniu wpłynął nie tylko na mój zawód, ale i na całe moje życie. Dlatego ja głosuję za wariantem drugim.

- Dwadzieścia sześć lat - powiedział Wargezi. "On dożyje - pomyślał Pawłysz. - Nie ma jeszcze czterdziestki. Śmiech ogarnia, jak sobie o tym pomyśle. Zabiorą nas ze statku, a tu nie ma nikogo młodego. Nawet Grażyna nie będzie młoda. Ani ja. Wszyscy nie młodzi".

I dopiero wtedy Pawłysz zrozumiał, że wszystko, co się tu dzieje, dotyczy w równym stopniu i jego. W pierwszej kolejności jego. To on spędzi tu całe swoje życie, bo dwadzieścia sześć lat to całe życie.

- Wiecie wszyscy - ciągnął Kapitan-2 - że prace nad udoskonaleniem łączności grawitacyjnej są prowadzone stale. Mam nadzieję, że nasza robinsonada potrwa znacznie krócej niż trzydzieści lat.

- A jeśli granice łączności są faktem i to nieodwracalnym? -zapytał ktoś.

- Mamy dość energii na jeden zwrot. I tak dolecimy i zawrócimy.

- Statek jest stary - cicho oświadczył Wargezi. - To już ruina. Nie wiemy, co będzie działo się dalej.

- Silniki i korpus obliczone są na dwieście lat. Przecież wiecie wszyscy. Co prawda, przyjdzie nam trochę oszczędzać. Na wszystkim: od żywności począwszy, na drobiazgach kończąc.

Nagle Annine rozplakała się.

- Powinniśmy zdecydować o wszystkim wspólnie - powiedział kapitan. - Ale nie da się tego zrobić tak szybko.

15.

Wszyscy rozeszli się, niemal nie rozmawiając ze sobą.

Pawłysz rozumiał, dlaczego tak się stało. Gdyby ta decyzja nie była tak ważną, gdyby nie chodziło o własne życie, to załoga pewnie zatrzymałaby się w messie, dyskutowała, roztrząsała... Ale w tej sytuacji wszyscy na jakiś czas stali się dla siebie obcymi.

I rozchodzili się w ciszy.

Pawłysz zrozumiał, że nie chce podchodzić do Grażyny i nie chce słuchać płaczącej cicho pod ścianą Armine. Powinna pójść do swojej kabiny.

Pawłysz szedł korytarzem. Zupełnie sam.

Szedł długo.

Ocknął się w oranżerii. Przyjście tu nie było zamierzone. Po prostu jego podświadomość przypomniała sobie o wczorajszej wyprawie.

W tej chwili oranżeria wyglądała jeszcze bardziej żałośnie.

Kot, zaskoczony przez Pawłysza przy drzwiach, runął w suche badyle krzewów, rozległ się głośny trzask łamanych gałęzi. Pawłysz pośliznął się na kępie mchu rosnącej między grządkami.

Potem usiadł na jednej z nich. Jak gdyby znajdował się na Ziemi i wyszedł sobie spokojnie do ogrodu, małego ogrodu, pieszczonego przez jego babcie w Skniatino pod Kimrami.

Pawłysz nie myślał o tym, co go czeka. To było zbyt nieprawdopodobne. Myślał o tym, czego nie zdążył zrobić na Ziemi i co odłożył do swojego powrotu. Simona - a ona skończyła uczelnię trzy lata temu - zapraszała go na podwodną stację na Hawajach. Bardzo chciałby tam pracować.

Potem zrobiło mu się żal babci, przecież, jeśli lot się wydłuży, to już jej nie zobaczy. A jeśli nawet zobaczy Simone, to ta będzie już stara. Z Żerebiłowym budowali motorówkę, od dawna już się w to bawili, ze trzy lata. Żerebiłow powiedział przed startem: "Z wręgami sobie poradzę przez rok, ale poszycie to będzie twoja sprawa". O, nie oddał książki Wołodinowi. Czy Wołodin domyśli się, żeby zabrać ją sobie? Leży na drugiej półce od drzwi, zaraz obok kaset ze starym dixielandem. A u babci we wsi posadził trzy jabłonki, te drzewka też już będą stare. Babcia posunęła się, słabowita się zrobiła, jabłonie mogą wymarznąć, jeśli nadejdą silne mrozy.

Wszystko to były takie rozmyte, niczego nie przesądzające migawki...

Pawłysz zrozumiał, że myśli o tym wszystkim tak, jakby już zdecydował, że należy lecieć dalej. Już się przymierza do strat.

I godzi się z tymi stratami.

Przypomniał sobie, że wpadła mu kiedyś w ręce powieść fantastyczna, z grupy tych powieści, które pojawiły się jeszcze przed startem "Anteusza". W tej książce ludzie żyli na statku kosmicznym pokolenie po pokoleniu, rodzili się, umierali na pokładzie i nawet zapominali w końcu, dokąd i po co lecą. A jeśli on i Grażyna będą mieli dzieci, to te wyrosną przed ich powrotem na Ziemię i zupełnie nie będą wiedziały, jak wygląda życie na niej. Zresztą i rodzice nie bardzo będą sobie to wyobrażali. Powrót z gwiazd do świata, który odszedł daleko do przodu i zapomniał o tobie. Do innego pokolenia. Wykopaliskowy bohater W. Pawłysz! Gdzie jest jego miejsce? W rezerwacie?

Kiedyś ludzie w ten sposób opanowywali Ziemię.

W morze wypływali polinezyjscy rybacy, porywał ich sztorm. Albo prąd. Wielu ginęło. Ale jedno czółno na tysiąc docierało do innego atolu czy archipelagu. Ludzie wychodzili na brzeg, budowali domy i tylko w legendach pozostawała pamięć o innych ziemiach.

A potem taką wyspę odkrywał, dajmy na to, kapitan Cook. Chociaż Polinezyjczycy nie wiedzieli, że są odkrywani. Może jest to jakieś prawo rozprzestrzenia się ludzkości, prawo niesformułowane jeszcze przez naukę?

A jeśli nigdy nie wrócimy na Ziemię?

Łączność nie wróci i z jakiegoś powodu (a co to, mało takich może być?) "Anteusz" zostanie w gwiazdozbiorze Alfy Łabędzia. Przecież to jednak stary statek...

Nagle Pawłysz poczuł, że w oranżerii jest zimno i nieprzytulnie.

Kot siedział sobie nieopodal, patrzył na niego, przekrzywiwszy głowę. Może przypomniał sobie, że ludzie zazwyczaj karmią koty?

- Nie mam nic dla ciebie - powiedział Pawłysz głośno.

Kot, jak szary cień, przemknął ku krzewom i zniknął.

Pawłysz ruszył dalej.

Nagle opanowała go tęsknota za innymi ludźmi, normalnymi ludźmi, którzy wiedzą więcej od niego. Skierował się więc ku kajutom.

Tam już byli wszyscy.

Rej wodził Wargezi. Pawłysz rozumiał, że to on był najważniejszym opozycjonistą na pokładzie.

- Gęsi uratowały Rzym - mówił Wargezi, wpatrując się w Pawłysza swoimi ciemnymi oczami. -

Ale nikt nie zastanawiał się nad ich dalszym losem. A przecież gęsi trafiły do garnków. W uratowanym przez nie Rzymie. Tak więc na ich losie fakt uratowania Rzymu nijak się nie odbił.

Wyobraźcie sobie, co mówili ich potomkowie: nasz dziadek uratował Rzym, a potem został zjedzony.

Wargezi udawał, że się uśmiecha, ale mu to nie wychodziło.

- Nie jesteśmy drobiem - sprzeciwił się Pawłysz.

- Przybyło młode pokolenie, gotowe do czynów bohaterskich - zakpił Wargezi.

- Formalnie Wargezi ma rację. Ale nie o to chodzi, czy jesteśmy gęśmi czy nie - powiedział Stanzo. - Największy błąd naszego doktora polega na tym, że gęsi domowe funkcjonalnie przeznaczone są do konsumpcji. Ratunek Rzymu to czysty przypadek w ich życiu.

- A ja i tak sprzeciwiam się heroizmowi - powiedział Wargezi. - Czego to ludzie nie narobili w stanie afektu. Mucjusz Scewola poświęcił nawet rękę. W tym momencie nie wyobrażał sobie ani bólu, na jaki się skazywał, ani tego, jak sobie będzie radził bez ręki.

- W ten sposób można wykpić wszystko - nie wytrzymał i zawołał Pawłysz.

- Sława, nie przerywaj starszym - powiedział Wargezi. - Rozumiem, że moje słowa wywołują w tobie gniew. Ale nauczcie się wysłuchiwać prawdy i w ogóle nauczcie się słuchać. Podbijamy kosmos, a nie opanowaliśmy jeszcze sztuki szacunku do otaczających nas ludzi.
- Mnie to dotyczy bardziej niż pana - uparł się Pawłysz.
- Ciekawe, dlaczego to?
- Pan już trochę pożył - powiedział Pawłysz. - A ja dopiero zaczynam.
- Czy sądzi pan, że mnie się już życie przejadło?
- Nie, nie przejadło, ale wiele już pan widział. Będzie pan miał co wspominać. A ja mam mało do wspomnienia.
- To dość nieoczekiwany argument - powiedział Stanzo. - Ale nader ważki.
- Czy to znaczy, że chce pan zawrócić? - zapytał Wargezi.
- O nie, proszę nie mieć nadziei. Nie jestem pana sojusznikiem - odparował Pawłysz. - Jeśli wszyscy tak zdecydują, to jestem gotów lecieć dalej.
- Dlaczego, kadecie?
- Dlatego, że nie wierzę w nieistnienie czynów bohaterskich.
- Sławy się panu zachciało? Co prawda, za trzynaście lat, ale jednak sława? I nie ma pan pewności, czy uda się panu ją osiągnąć bez tej awarii, jaka nam się przydarzyła?
- Nie zastanawiałem się nad czynami bohaterskimi - powiedział Pawłysz z przekonaniem. - Ale będzie mi wstyd. Wrócimy i zapytają nas: "Jak to się stało, że się wystraszyliście?". Wszyscy będą mówić: "Na waszym miejscu polecilibyśmy dalej."
- Istnieje takie niebezpieczeństwo - zgodził się Johnspn. - W myślach każdy poleci dalej.
- W myślach łatwo jest ponosić ofiary! - niemal wykrzyczał Wargezi. - W wyobraźni mogę sobie odciąć nawet obie ręce. Tym, co tak będą mówić nic nie zagraża. Nie zagrzebują siebie na ćwierć wieku w zardzewiałej puszczy, ciśniętej w niebo.
- Szkoda - powiedział Stanzo.
- Czego szkoda?

Stanzo mówił bardzo cicho, jakby nie był przekonany, czy warto dzielić się swoimi przemyśleniami z otoczeniem.

- Szkoda, że nie dolecimy.

I w tym słowie cząstka "my" zawierała wielu ludzi. Jakby nagle Stanzo wyobraził sobie całą Ziemię, która nie doleci do celu.

- Szkoda byłoby w tym przypadku - znowu zawołał Wargezi - gdybyśmy wiedzieli, że od naszego lotu zależy los, życie, szczęście Ziemi! Ale zrozumcież, ani jeden człowiek nie zauważy, dolecieliśmy czy nie. Ale jeśli nie wrócimy, to naszym bliskim sprawimy ból. Tylko w powieściach fantastyczno-naukowych i różnych pieśniach kosmonauci na zawsze porzucają domy rodzinne. Dla Postępu z dużej litery.

Pawłysz nie zauważył, kiedy wszedł Kapitan-1. Może stał tam od dawna, tylko nikt go nie zauważył.

- Proszę wybaczyć - odezwał się. - Mogę wyrazić sprzeczną opinię?
- Oczywiście - rzucił wojowniczym tonem Wargezi. - Ciekaw jestem, na czym polega mój błąd.
- Nie błąd. Nieścisłość. Powiedział pan, że nikogo nie rusza to, czy dolecimy czy nie.
- Oczywiście, "Anteusz" od dawna jest tylko symbolem.
- Mówi pan, że ten lot nijak nie odbije się na losie Ziemi.
- A może pan udowodnić, że tak nie jest?
- Jeśli zsumujemy tę energię i pracę wkładaną przez sto lat w ten statek, to będzie jasne, że stało się to z pewną szkodą dla postępu w innych dziedzinach. Można powiedzieć, że niektórzy ludzie, którzy oddali swoje siły temu statkowi i tej wyprawie, mogliby wiele zdziałać w innych

dyscyplinach wiedzy. Można przypuścić, że energia, jaką zużyła wyprawa, mogłaby wystarczyć do stworzenia na Księżycu sztucznej atmosfery i założenia na nim kwitnącego ogrodu.

- Przesada - powiedział Stanzo.

- Może i przesada, ale "Anteusz" okazał się być głodnym dzieckiem.,

- Z drugiej strony - dodał Johnson - sama budowa statku, doświadczenia z jego lotu są również bardzo ważne.

- Zgoda. Ale to wszystko było robione z uwzględnieniem końcowego celu. System słoneczny jest za ciasny dla ludzkości. W naszym więc ręku jest los pierwszego kroku w inną przestrzeń całej ludzkiej cywilizacji.

- Ten glob może być pusty.

- Ale kabina na niej stanie się oknem do centrum Galaktyki. Górskie szczyty są puste. Ale pozostają szczytami.

- Analogia do alpinizmu jest w tym przypadku powierzchowna - powiedział Wargezi.

"Zaraz go uduszę - pomyślał Pawłysz. - Uduszę i od razu na statku będzie się lżej oddychało".

- Ludzie wchodzą na Everest - powiedział Kapitan-1 - mimo że jest tam zimno i nie serwują tam piwa. Ludzie wędrują na Biegun Północny. A tam nie ma niczego prócz lodu. Pana również, Wargezi, nikt siłą nie ciągnął w kosmos. Ile razy stawał pan na komisji lekarskiej, zanim włączono pana do załogi?

- No, to już przesada - odparł Wargezi. - Przecież w końcu ją przeszedłem.

16.

Gdyby ktoś spróbował porozmawiać z uczestnikami wyprawy o tym, o czym myśleli i co przeżyli w ciągu tych dwu dni, kiedy zapadała decyzja, okazałoby się, że niemal wszyscy odczuwali przygnębienie, głęboki smutek i tęsknotę za tymi, co zostali w domu. Ale, z niewielkimi wyjątkami, trzydziestu czterech członków załogi, znajdujących się w tym momencie na pokładzie "Anteusza", nie przeżywało jakichś specjalnych dylematów.

Być może powodem było to, że większość załogi stanowili zawodowi kosmonauci; mechanicy grawitacji, nawigatorzy, nawet biolodzy i kabinowcy nie po raz pierwszy znaleźli się w przestrzeni kosmicznej. W zasadzie różnica między lotem statku wśród gwiazd i w granicach Układu Słonecznego nie jest aż tak wielka. Taki sam tryb życia, takie same miesiące odcięcia od świata, miesiące, które stają się normami istnienia. Towarzysze kapitana Cooka, wypływając w trwające trzy. lata rejsy, uważali taką epopeję za normę.

Oczywiście dwadzieścia sześć lat w porównaniu z rokiem, dwoma to wielka różnica.

Na dodatek zwrot w sytuacji był zaskakujący.

Zawodowstwo przewiduje poczucie obowiązku. Załoga leciała do gwiazdy, a okoliczności ułożyły się tak, że dla zakończenia lotu przyszło im złożyć ofiarę. Hamowanie i zawrócenie statku pozbawiały sensu stułetnią wyprawę. "Anteusz" stanie się wędrowcem, który zawrócił o kilka dni drogi od bieguna czy szczytu, ponieważ droga stała się trudna. Nie niemożliwa do pokonania, ale trudna. To była istotna różnica.

Dlatego grawigram, wysłany następnego dnia na Ziemię, suchy i nawet taki pospolity, odpowiadał rzeczywistości na statku:

"Po przeanalizowaniu powstałej sytuacji, załoga statku "Anteusz" podjęła decyzję o kontynuacji lotu w kierunku Alfya Łabędzia, wykonując przewidziane w harmonogramie zadanie..."

Co prawda, nikt nie miał pewności, czy posłanie dotrze do celu...

17.

Grawigram nie oddaje szczegółów. Ale one istniały. W nocy Pawłysz, nie mogąc zasnąć, spacerował po statku - przygnębiała go nieruchomość snu - i doszedł w końcu do zimowego Wiśniowego Sadu. Zaczął żałować, że nie wziął kąpielówek, żeby móc się wykąpać, ale w końcu zdecydował, że i tak się wykąpie, ponieważ raczej nikomu więcej nie przyjdzie do głowy pomysł przyjścia tu w nocy. I gdy tylko zaczął się rozbierać, zobaczył, że do basenu zbliża się Grażyna z ręcznikiem przerzuconym przez ramię.

- Jeszcze chwila - oświadczył Pawłysz - i wskoczyłbym do wody w stroju adamowym. Poczuł, że ma na twarzy szczenięcy uśmiech, który zrodził się na widok Grażyny. Gdyby miał ogon, już by rozpaczliwie nim merdał.

- Jeśli ci przeszkadzam, to odejdę.

- Przecież wiesz, że się cieszę - powiedział Pawłysz.

- Nie wiem - odparła Grażyna. I natychmiast gestem ręki przecięła próbę wyznania. Zrzuciła szlafroczek i położyła go na kanapę. Tym razem miała na sobie czerwony strój kąpielowy.

- Ile ich masz? - zapytał Pawłysz.

- Co masz na myśli? - Grażyna zatrzymała się na krawędzi basenu.

- Wolno zabrać trzy kilogramy rzeczy osobistych, a ty chyba przywiozłaś kontener strojów?

- Zdziwiasz mnie swoim zmysłem obserwacji. Uszyłam je tutaj.

- Potrafisz szyć?

- Gram również na harfie i znam haft angielski - odpowiedziała. - Możesz sprawdzić,

I wskoczyła do wody. Bryzgi doleciały do Pawłysza. Kiedy jej głowa pojawiła się nad powierzchnią, krzyknął:

- A uszyjesz i dla mnie? Nie wpadłem na pomysł, żeby wziąć kąpielówki.

- Nie zdążę - odparła Grażyna. - Ja stąd nawet na piechotę ucieknę, byle nie zostawać tu z tobą. Egoistyczny pawian.

- Jesteś pierwszą osobą, która porównała mnie do tego zwierzęcia.

Musiał poczekać, ponieważ Grażyna pod wodą płynęła do przeciwległego brzegu. Napawał się widokiem jej zgrabnej sylwetki.

Kiedy wynurzyła się, zapytał:

- Skoro tak chcesz na Ziemię, to dlaczego jako pierwsza powiedziałaś o drugim wariantcie?

- O tym, żeby lecieć dalej?

- Powiedziałaś to nawet przed kapitanem.

- A ty uznałeś, że to z twojego powodu? Żeby być z tobą przez najbliższe ćwierć wieku?

- Nie, nie pomyślałem.

- Dzięki i za to. Powiedziałaś, bo to jest naturalne. Nie powiedziałabym ja, to powiedziałby ktoś inny.

- A jeśli jutro odbędzie się głosowanie?...

- Powiem, że zgadzam się lecieć.

Grażyna mocno chwyciła się krawędzi, podciągnęła i usiadła na brzegu z nogami w wodzie.

- No to powiedz, dlaczego?

- Najpierw odpowiem ci na drugie pytanie, którego jeszcze nie zadałeś: czy śpieszę się do kogoś na Ziemi? Czekają na mnie mama. Pewnie i ojciec, ale ojciec jest wiecznie straszliwie zajęty. Nie zawsze pamięta, że ma dorosłą już córkę. Jest też mężczyzna, który uważa, że na mnie czeka... Obiecaliśmy sobie coś. Obiecaliśmy sobie nawzajem. Jak gdybyśmy musieli zwrócić obopólne długi. On jest starszy ode mnie. Czuję się zobowiązana wrócić do niego, bo on na mnie czeka. I, szczerze mówiąc, bardzo mi go brakuje: To bardzo interesujący człowiek, nigdy się nie nudzę przy nim...

- Dobra - niezbyt uprzejmie przerwał Pawłysz. - Wmówiłaś sobie coś. Zostałem uświadomiony. Jestem wzruszony. Zaczynam już szlochać.
 - No to uważaj, że już o wszystkim sobie pogadaliśmy.
 - Nie, nie pogadaliśmy. Nie odpowiadałaś na najważniejsze pytanie.
 - Na pytanie, dlaczego zgadzam się tu pozostać? Ależ po prostu dlatego, że nie mam innego wyjścia.
 - Masz. Każdy za nas ma. Myślę, że jeśli przynajmniej jedno z nas powie, że się nie zgadza, to zawrócimy.
 - I chciałbyś, żebym to ja była tym człowiekiem, z powodu którego to się stanie?
 - Każdy ma swoje życie. Tylko jedno.
 - A chciałbyś być takim człowiekiem? Czy może już zdecydowałaś, że będziesz takim człowiekiem?
 - Poczekam, niech to powie kto inny.
 - To podłe. Okazuje się, że na dodatek jesteś również tchórzem?
 - Tchórzem, bo chciałbym wrócić?
 - Tchórzem, bo nie masz odwagi się do tego przyznać.
 - Głupia jesteś! - krzyknął wzburzony Pawłysz. - Nie będę prosił o powrót. Wiem, że nie poproszę!
 - Powiedz, dlaczego?
 - Będziesz zła!
 - Z mojego powodu!
 - Tak.
 - To głupie.
 - Czy jestem ci wstrętny?
 - Głupi. Jesteś zwyczajny. I, jak myślę, nie gorszy od innych. Poza tym mało cię znam. Ale każdej kobiecie... każdemu człowiekowi takie coś pochlebia. To miłe.
 - Dziękuję, ale i tak nie powiedziałaś mi wiele o sobie. Dlaczego, twoim zdaniem, nie ma wyjścia?
 - Dlatego, że wybrałam sobie taki zawód, który ma w sobie ryzyko niemożności powrotu do domu. Nie wszystkie statki wracają na Ziemię. Tak było i będzie.
 - Rozumiem, kiedy tak mówi Kapitan-1. To wilk kosmiczny.
 - Nie należy mnie nie doceniać - powiedziała Grażyna - dlatego, że podobają ci się moje nogi czy brwi. Nie jestem płcią słabą.
 - Nie strasz mnie. Nie chciałbym, żeby moja przyszła żona miała twardszy charakter od mojego.
 - Masz szczęście, że nie będę twoją żoną. Na dodatek jestem od ciebie starsza.
- Potem Pawłysz odprowadził Grażynę do jej kajuty. Rozmawiali o Jałcie. Okazało się, że oboje nie tak dawno temu spędzili jakiś czas na Herbacianym Wzgórzu, w małym pensjonacie. Drzwi do kajuty Grażyny były uchylone, paliło się światło. Na jej łóżku leżała zwinięta w kłębek Armine. Słyszając kroki na korytarzu, poderwała się.
- Wybacz - powiedziała do Grażyny. - Bałam się być sama w kajucie. Już sobie idę.
 - Dobranoc, Sławku - od razu pożegnała się Grażyna.

18.

Uroczysty charakter ostatniego zebrania w messie wytłumaczyć można chyba było tym, że wszyscy obecni starali się, świadomie czy nie, okazać, że nic ekstraordinaryjnego się nie wydarzyło. Po prostu, zebrali się, by przedyskutować ważny problem. Rzeczywiście - ważny. Ale

nic więcej. I gotowi są do powrotu do swoich zajęć i obowiązków, gdy tylko dyskusja się skończy.

Pawłysz usiadł z tyłu, na kanapie przy stoliku szachowym. Pomyślał, że statek wypełnia martwe powietrze. Takie, które nigdy nie było zasilane zapachami żywego świata. Pawłysz miał ochotę otworzyć okno. Właśnie dlatego, że nie można było tego zrobić. Można wytrzymać rok w zamkniętym pokoju, ale jak w nim żyć przez wiele lat? Nie, trzeba myśleć o czymś innym. Może wpatrywać się w twarze zebranych, żeby odgadnąć, kto i co powie?

Pawłysz rozumiał, że jeśli Kapitan-1, odświętny dziś, wyprasowany, wygolony, wydestylowany, zapyta właśnie jego, to on, Pawłysz, powie: "Tak". Ale Pawłysz jednocześnie nic nie mógł zrobić z tym robakiem, siedzącym w jego wnętrzu i mającym nadzieję, że inni, na przykład posępny Wargezi czy Armine, składająca na kolanach wilgotną chusteczkę, albo może milczący przez cały ostatni dzień Johnson, powie: "Nie".

I przyłapał się na tym, że usiłuje mentalnie wmówić w Wargeziego, by ten podniósł się i powiedział: "To nieludzkie i niewyobrażalne, byśmy my wszyscy, włącznie z takimi młodymi ludźmi jak Pawłysz, którzy tak się śpieszą do domów, odmawiali sobie i im wszystkich rozkoszy wynikających z życia wśród ludzi dla jakiegoś abstrakcyjnego celu"... I nagle Pawłysz zawstydził się tak, że aż się wystraszył, czy nie zarumienił się, bo rumienił się łatwo. I bał się, że napotka spojrzenie Grażyny, dla której wszystko było jasne i która już podjęła decyzję. A niby dlaczego miała decydować za niego, za Pawłysza?

- Pawłysz - powiedział Kapitan-1. - Pan jest najmłodszy z załogi. Powinien pan pierwszy zabrać głos.

Pawłysz niemal krzyknął: "Nie ja! Nie chcę być pierwszy!". Jak na lekcji - wpatrujesz się w nauczyciela, którego palec przesuwają się po rubrykach dziennika. Oto minął literę "b" i twój sąsiad Borodulin odetchnął z ulgą, oto palec belfra zbliżył się do twojego nazwiska, a ty prosisz go w myślach: "przeskocz, omiń mnie, tam są jeszcze inni, którzy na pewno przygotowali się do dzisiejszej odpytki i rozwiązali te zadania."

Pawłysz wstał i, nie rozglądając się, poczuł, że spojrzenia obecnych dosłownie ścisnęły go.

W głowie panowała absolutna, bezdenna pustka. Dokładnie tak, jak wtedy w szkole. I nie wolno patrzeć przez okno, za którym na gałęzi drzewa siedzą dwa wróble, i myśleć: "który odleci pierwszy? A co się tyczy równania, to nie istnieją żadne równania"

Pawłyszowi wydawało się, że milczy już długi czas, może nawet godzinę.

Ale wszyscy cierpliwie czekali, czekali może ze dwadzieścia sekund, póki milczał.

- Tak - powiedział Pawłysz.

- Przepraszam - powiedział Kapitan-1. - Słowo "tak" oznacza?.. Lecieć czy wracać?

- Powinniśmy lecieć dalej.

- Dziękuję. - Kapitan-1 odwrócił się do młodego nawigatora, stażysty, który przyleciał razem z Pawłyszem.

Ten podniósł się szybko, niczym wzorowy uczeń, wyczekujący z utęsknieniem wezwania do tablicy.

- Lecieć dalej - powiedział.

Pawłysz poczuł ulgę. Jakby skończył jakąś ważną i jednocześnie nieprzyjemną robotę. I teraz czuł się lekko. Już widział świat normalnie. A pierwsze słowa jakby obudziły całą meszę. Ktoś odkaslnął, ktoś rozsiadł się wygodniej...

Ludzie wstawali i mówili "tak".

Odbywało się to prosto i spokojnie, inaczej niż wyobrażał sobie Pawłysz.

Jako dziesiąty czy jedenasty wstał Wargezi.

Pawłysz zrozumiał, że nadszedł krytyczny moment. To samo rozumieli inni. Znowu zrobiło się bardzo cicho.

- Lećmy dalej - po prostu oświadczył Wargezi.

Pawłyszowi wydało się, że usłyszał westchnienie ulgi.

A może ktoś był tak samo słaby jak Pawłysz? I westchnął nie z ulgą, tylko odwrotnie? Jakby zamknęły się jakieś drzwi? Ale Wargezi nie usiadł. Miał ochotę powiedzieć coś jeszcze.

I nikt mu nie przerywał.

- Kiedy jest się młodym - kontynuował Wargezi - życie nie wydaje się takie cenne, ponieważ ma się przed sobą jeszcze zbyt wiele wszystkiego. Tak wiele, że ten skarb jest nie do wyczerpania. Byłoby mi łatwiej się zdecydować, gdybym był taki młody jak Sława Pawłysz. W końcu, minie kilka lat, i stanę się pierwszym człowiekiem, który postawi nogę na planecie pod innymi gwiazdami. Stanę się wielkim człowiekiem. Mimo całej względności wielkości. Pewnie, na miejscu Sławka zazdrościłbym wszystkim, którym przypadło być w ostatniej zmianie. A los wskazał palcem nas. Tyle, że z przesunięciem o trzydzieści lat. Mieliśmy szczęście? Mieliśmy. Czy ja osobiście miałem szczęście? Nie wiem. Dlatego, że już mam za sobą połowę życia i nauczyłem się je cenić. Nauczyłem się liczyć dni, ponieważ biegną za szybko. Ale przecież tak samo będą biegły na Ziemi. A ja będę przez wszystkie te lata, trzynaście lat, w myślach leciał do gwiazdy i codziennie żałował, że nie zgodziłem się na ten lot. Przecież trzynaście lat to nie jest tak dużo. Wiem. Już trzy razy przeżyłem taki okres.

I usiadł.

Pawłysz pomyślał, że Wargezi trochę jakby oszukiwał. Powiedział tylko o trzynastu latach, nie o dwudziestu sześciu. Chociaż, może, i ma rację. Nie może być, żeby przez te lata na Ziemi nie wymyślili, jak dogonić "Anteusza".

I Pawłysz spróbował wyobrazić sobie siebie za te trzynaście lat. Mam trzydzieści trzy. Jestem młody. Otwieram luk lądownika. Wychodzę na chłodną trawę planety, której nikt jeszcze nie oglądał na oczy. Idę po niej...

- Armine? - odezwał się Kapitan-1.

Armine poderwała się szybko jak prostująca się sprężyna.

- Ja z wami - powiedziała. - Nie mogę być przeciwko wszystkim.

- Ale jesteś przeciwna? - zapytał kapitan.

- Nie, ja jak wszyscy.

Skierowała się do wyjścia.

Grażyna poderwała się i ruszyła za nią.

- To nic - powiedziała. - Nie przejmujcie się. Zaraz wracam.

- A jakie ty masz zdanie? - zapytał Kapitan-1.

- Ja głosuję za lotem. Oczywiście, że za lotem, czy to nie jest jasne?

I wybiegła za Armine.

Ani jeden człowiek z trzydziestu czterech członków załogi nie powiedział, że chce wracać.

"Pewnie - pomyślał Pawłysz - wielu by chciało wrócić. Ja też. Ale nie chciałbym żyć na Ziemi i za trzynaście lat uświadomić sobie: oto dziś zszedłbym na grunt tej planety".

- W końcu - powiedział mechanik ze starej zmiany, jeden z ostatnich - mam i tu do cholery roboty.

19.

Pawłysz postanowił odwiedzić Grażynę. Teraz już nie czuł się onieśmielony pod jej drzwiami. Teraz już nigdy nie będą sobie obcy. Jakakolwiek będzie ich przyszłość, będzie wspólna.

- No i jak tam? Czym się skończyło? - zapytała Grażyna. Leżała przed nią księga w niebieskiej okładce.

- Prowadzę dziennik - wyjaśniła, widząc, że Pawłysz przygląda się księdze.

- Kapitan-1 radził odłożyć decyzję jeszcze o jeden dzień.

- Z powodu Armine?

- Oczywiście. I żeby jeszcze co poniektórzy mieli czas się namyślić. I powiedział, że ci, co mają wątpliwości, mogą przychodzić bezpośrednio do niego. Zdarza się, że trudno jest powiedzieć, co się myśli, kiedy słucha tego wielu ludzi.

- I co?

Pawłysz rozglądał się po niewielkiej kajucie. Grażyna zamieszkiwała ją już cały rok. Ani jednej fotografii, ani jednej ozdoby. Tylko małe zdjęcie ładnej kobiety. Pewnie mamy. Może już się spakowała do powrotu?

- Już się spakowałam - odpowiedziała na jego myśl Grażyna. - A tak w ogóle to jestem pedantką. Co zdecydowano?

- Jednogłośnie. Postanowiono, co znaczy, że postanowiono. I wysłano grawigram.

- Który nie dojdzie.

- Może i nie dojdzie. A może dojdzie. Przecież nie to jest ważne.

- "Anteusz" kontynuuje lot?

- Tak. Jak się czuje Armine?

- Poszła do siebie.

- Nie chce lecieć?

- Poleci, jak wszyscy - powiedział Grażyna. - Ona rozumie, że jej życzenie nie może być w sprzeczności z życzeniami wszystkich pozostałych. I wszystkich tych, co zostali w domu. To właśnie jest demokracja.

Pawłysz ciągle stał w progu, Grażyna nie zaprosiła go, by usiadł.

- Trudno mi się sprzeczać - rzekł Pawłysz. - Nie potrafię dyskutować. Ale może ona musi wracać do domu?

- Co znaczy "musi"? Bardziej niż ty? Bardziej niż ja?

- Każdy rozumie to po swojemu. Nie mam pewności, czy mamy prawo, nawet jeśli jesteśmy w większości, narzucać swoją wolę innym.

- To są głupie i puste słowa! - eksplodowała Grażyna. - Jeśli wszyscy są jednomyślni, nie może być postępu! Najczęściej w historii ludzkości mniejszość narzucała swoją wolę większości.

Jeszcze jak narzucała. A niepokornych stawiano pod murem! Czytałeś o tym?

- To się ma nijak do nas.

Pawłysz nagle zobaczył, że Grażyna ma oczy pantery. To nie znaczyło, że w swoim życiu widział dużo panter i zaglądał wszystkim w oczy. Ale takie jasne, zimne, zielone oczy powinny być oczami pantery. Strach w nie patrzeć. Ale zakochanie polega na tym, że zjawiska i sytuacje wywołujące protest w normalnym życiu, w obiekcie miłości wręcz zniewalają. Miłość kończy się wtedy, kiedy człowiek zaczyna cię irytować. Kiedy drażnią drobiazgi, detale, głos, gesty. A Pawłysz myślał: "jakie piękne oczy mają pantery".

- Na szczęście nijak - zgodziła się Grażyna. - Ale ma znaczenie zasada demokracji. Armine nie powiedziała, że jest przeciwna.

- Ale tak pomyślała.

- Jest zakochana. A ten chłopak czeka na nią. - Grażyna zlekceważyła tę cudzą miłość. Nawet w słowie "chłopak" zabrzmiała pogarda.

- Sądziłem, że Armine jest twoją przyjaciółką.

- Jest moją przyjaciółką. Zrobię dla niej wszystko, co w ludzkiej mocy. Ale też zawsze mówię prawdę w oczy. Gdyby nawet trzech czy czterech członków załogi opowiedziało się za powrotem, to krzychałabym, biłabym się z nimi, udowadniała, że powinniśmy lecieć dalej. Dlatego, że tych, co myślą słusznie jest więcej.

- Nie wiem - westchnął Pawłysz.

- Nigdy nie będziesz wielkim człowiekiem. Nie potrafisz podejmować decyzji.

- Nie chcę być wielkim człowiekiem.

- Szkoda. Nawet w tej chwili masz nadzieję, że łączność zostanie przywrócona i wrócisz do siebie na czas. Jesteś wystraszony, ale wstydzisz się przyznać. Podobam ci się i nawet wymyśliłeś sobie romantyczną historię o tym, jak to się poženimy i będziemy wieczorami siedzieli i wpatrywali się w gwiazdy w Ogrodzie Zewnętrznym. Ale tak naprawdę, to bardzo chcesz do domu.

- Dobrze, że nie jesteś kapitanem. Zawsze podejmowałabyś decyzje za innych.

- Właśnie po to wyznacza się kapitanów. Ja rozumiem sytuację "Anteusza". Tu są teraz dwaj kapitanowie, powstała sytuacja niezwykła, której nie przewidywał żaden informator. Na dodatek żadna decyzja nie zagraża bezpośrednio ani statkowi, ani załodze. Zatem kapitanowie, zwykli przecież ludzie, stracili głowy.

- Nie odczułem tego tak.

- Znam pewnego mężczyznę. Już trzeci rok nie może się zdecydować, zadreńczył i mnie, i inną kobietę, a najbardziej samego siebie. To tchórzostwo i głupota. Gdyby podjął decyzję od razu, ktoś by się pomęczył trzy tygodnie, a potem wszyscy odetchnęliby z ulgą. Ludzie niezdolni do podjęcia decyzji są przestępcami. Zgadzasz się ze mną?

Pawłysz wiedział, że jego odpowiedź nie jest Grażynie potrzebna. Dlatego powiedział:

- Byłaś wzorową uczennicą?

- To nie jest wcale skomplikowane, Sławku. Należy tylko w odpowiednim czasie odrabiać zadane lekcje. Nie odkładać ich na jutro.

- A wpisy do dzienniczka robisz codziennie?

- Oczywiście. Na szczęście w twoim głosie pobrzmiewa rozczarowanie. Stworzyłeś sobie obraz pięknej kobiety, ponieważ brakowało innych. Odmalowałeś sobie mnie taką, jaką chciałbyś, by była twoja ukochana. A ja nie chcę grać według twoich reguł. Jesteś więc rozczarowany. To druga niespodzianka w ciągu dwóch dób...

- Dość, nie wierzę ci. Kiedy człowiek ma pewność swojej racji, nie musi krzyżeć i złościć się.

- Odejdź - powiedziała Grażyna. - Odejdź i żebym cię więcej nie widziała! Jesteś żałosny!

Pawłysz wruszył ramionami. Słowa Grażyny nie uraziły go, ponieważ rozumiał, że rozmawia w tej chwili nie z nim, a z tym mężczyzną, który został na Ziemi.

Zadziwiający człowiek ta Grażyna... Pawłysz obracał to słowo na języku jak groszek - Grażyna, Grażynka...

Cicho zamknął za sobą drzwi.

"Problemy - pomyślał. - Problemy... Wszyscy mają jakieś problemy, a statek leci do gwiazdy. I zupełnie nie wiadomo, co i kiedy jest ważniejsze..."

- Najważniejsze, wszelako, że statek leci.

20.

Noc na statku, który zawsze leci w wiecznym mroku.

Jesteś częścią ogromnego świata, jakkolwiek małym wydaje się on w przestrzeni.

Jarzą się światła w korytarzach, nieco niższa temperatura po- wietrzą, cicho poskrzypuje plastik pod stopami - w dzień milczy. Ludzie spotykający się nocy na korytarzu mówią półgłosem, chociaż i tak nie da się w kajucie usłyszeć głosu z korytarza.

Pawłyszowi, jak i poprzedniej nocy, nie chciało się spać.

Szacunek dla kosmonauty, który potrafi zawsze zasnąć w czasie na sen przeznaczonym - to pierwsza zasada. Pawłysz złamał ją już dwukrotnie.

Zatrzymał się pod drzwiami kajuty Armine.

Nie chciał wchodzić. Wyobraził sobie, jak Armine zasnęła, wypłakawszy się. Jeśli Grażyna ma rację, to przecież aż trudno sobie wyobrazić powrót do ukochanego po ćwierćwieczu. Nawet jeśli będzie wiemy i będzie czekał, to już nie ten sam człowiek. Może lepiej, żeby nie czekał?

W kajucie paliło się światło.

Drzwi, jak zauważył Pawłysz, nie były szczelnie zamknięte.

- Armine - zawołał cicho, przycisnąwszy usta do szczeliny.

Jeśli Armine nie śpi, to wejdzie, postanowił. W tej chwili była znacznie mu bliższa i bardziej rozumiała niż stalowa Grażyna, chociaż nie wierzył tak do końca i w niewzruszoność zasad, i samej Grażyny. Każdy nosi jakąś swoją maskę. A Armine jest człowiekiem bez maski.

Niechający, a może i nie, trącił drzwi, a one uchyliły się.

Kajuta była pusta. Pościel na łóżku zmięta. Pawłysz nie przestąpił progu, to by było jak podglądanie.

Pomyślał nagle, że Armine musi być przy Ogrodzie Zewnętrznym, na basenie. Tam można zobaczyć i las, i wodę.

Tam samotność nie jest taka bezosobowa. I nie wolno jej zakłócać?

A może trzeba?

Pawłysz przymknął drzwi i poszedł korytarzem dalej.

Zdziwił się bardzo na widok wychodzącego ze sterówki Ka-pitana-2, wysokiego, smagłego mężczyznę, wyglądającego, jakby dopiero wczoraj zszedł z wysokich gór, opalonego przez takie wysokogórskie słońce.

- Nie możesz zasnąć? - zapytał.

- Zaraz idę spać - odpowiedział Pawłysz.

- Spij. Jutro masz wachtę. A od waszej pracy i dokładności wiele może zależeć.

Pawłysz nie chciał, by kapitan wiedział, w jakim jest humorze czy jak się czuje. Kapitan, na szczęście, o nic nie pytał. Stali po prostu jak ludzie, którzy po jakimś czasie spotkali się na ulicy, którym niezręcznie jest pożegnać się, ale też nie za bardzo jest o czym rozmawiać.

- Gdybyś chciał - powiedział nagle Kapitan-2 - pokażę ci jutro portrety moich synów. Jeden ma sześć, drugi dziewięć lat. Wspaniałe chłopaki. Chcesz?

- Chcę, dziękuję.

- No to dobrze. Dobranoc.

I Kapitan-2, stąpając bezszelestnie, oddalił się w kierunku swojej kajuty.

A Pawłysz ruszył dalej, do Ogrodu Zewnętrznego.

21.

Drzwi do sekcji z basenem były zamknięte.

Dziwne, kto i po co je zamknął?

Na statku w ogóle nie było zwyczaju zamykania drzwi. W przypadku awarii automatyka i tak zadziała szybciej i niezawodnie.

Co prawda, wiele rzeczy mogło się wydarzyć - remont, profilaktyka, może zaciął się zamek. I gdyby nie łąta w przezroczystej ścianie, Pawłysz odwróciłby się i odszedł, ale postąpił inaczej.

Jego niepokój był niczym nieuzasadniony i najprawdopodobniej po prostu śmieszny. Naiwny. Pobiegnął jednak do wnęki.

Znajdowała się na drugim poziomie, o dwie minuty biegu.

Pawłysz otworzył drzwi do wnęki i nałożył skafander.

To mu zajęło kolejne dwie minuty.

Wybiegł na korytarz i pomknął z powrotem.

Basen i Zewnętrzny Ogród były jedną sekcją. Jedną z dwudziestu trzech sekcji "Anteusza".

Między sekcjami, na wypadek awarii, znajdowały się łączniki. Można było posłużyć się łącznikiem, wyłączwszy automaty.

Pawłysz wyłączył je, potem przekręcił ciężkie koło. Wtedy drzwi zewnętrzne odsunęły się na bok. Wszedł do komory śluzy. Sprawdził, czy wszystko jest szczelne. Włączył łączność wewnętrzną.

Wskaźniki na pulpicie wskazywały, że w sekcji panuje normalne ciśnienie. Zdążył.

Drzwi za jego plecami zamknęły się, potem bardzo wolno uchyliły się drzwi przed nim.

Pawłysz wbiegł do sali basenu.

Armine siedziała w fotelu nad basenem i patrzyła w wodę. Była bardzo spokojna. Tak zamyślona, że nawet nie usłyszała, jak w sali pojawił się Pawłysz.

A Pawłysz, całkowicie skonfundowany, zamarł za progiem.

Przez ostatnie kilka minut działał: bieg - zadyszka - jedna wszechogarniająca myśl - byle zdążyć - strach przed zwłoką... A sekundy w łączniku, póki otwierały i zamykały się drzwi, dały jego fantazji plastyczne wyobrażenie szeroko otwartych drzwi do Ogrodu Zewnętrznego i szklanego, podobnego do szklanych drzwi, ciała Armine.

Ale Armine siedziała nad basenem.

Pawłysz po prostu się wystraszył. Za chwilę dziewczyna odwróci głowę, uniesie gęste, proste brwi: "Co ty tu robisz w skafandrze?". Co jej odpowiedzieć? "Wymyśliłem, że postanowiłaś popełnić samobójstwo i pobiegłem, żeby nałożyć skafander, i, nie ryzykując własnego cennego życia, wynieść twe ciało z Zewnętrznego Ogrodu?"

Pawłysz, starając się nie wywołać najmniejszego hałasu, zaczął wycofywać się do łącznika, żeby odejść niezauważonym.

I ten odwrót zdecydował o wszystkim.

Armine usłyszała go.

Właściwie, to dopiero w tym momencie podjęła decyzję i postanowiła wstać z fotela. I nagle szelest kroków Pawłysza dotarł do niej.

Odwróciła się gwałtownie, nie jak człowiek, a jak małe, wystraszone zwierzątko. I, niczym przerażone zwierzę, poderwała się błyskawicznie i rzuciła do ściany Ogrodu Zewnętrznego.

Pawłysz najpierw nie zrozumiał, o co jej chodzi. Porzucił przecież już myśl o tym, że Armine chce skończyć ze sobą. Dlatego zatrzymał się i powiedział po prostu:

- Nie bój się, to ja, Sławek. I nagle zobaczył, że Armine wystukuje kod na drzwiach do Ogrodu Zewnętrznego.

Zaczął odruchowo liczyć w myślach, jednocześnie stojąc nieruchomo i nie odzywając się, jednostki kodu. Powinno ich być siedem.. Kliknęła pierwsza cyfra. Druga, trzecia, czwarta...

Przecież zaraz otworzy drzwi!

- Armine! - wrzasnął Pawłysz. - Stój, Armine! Proszę! Piąta, szósta...

- Popatrz na mnie! Patrz, co robię!

Chwycił obiema rękami za mocowania hełmu i szarpnął go do tyłu. Hełm odskoczył, zadrapał mu czoło, i potoczył się po podłodze.

Może właśnie ten dźwięk zmusił Armine do popatrzenia na niego.

I zobaczyła, że Pawłysz stoi bez hełmu.

- Coś ty? - Zrozumiała jego motywację. - Nie wolno. Tam jest próżnia!

- Wiem, wiem to!

- Przecież zginiesz.

- Tak.

- Ale nie wolno ci! To tylko moja sprawa. Ja tak chcę! Włóż hełm!

- Nie nałożę.

- Ja i tak otworzę drzwi! Muszę odejść!

-Otwieraj.

Pawłysz nawet nie zdążył wystraszyć się. W chwili, kiedy odczepiał hełm, nie bał się śmierci.

Już był pewien, że Armine nie otworzy drzwi, wiedząc, że Pawłysz zginie wraz z nią.

Armine rzuciła się do Pawłysza. Nie, nie do Pawłysza. Skoczyła do hełmu, który wolno toczył się w kierunku basenu, a Pawłysz, zamiast chwycić dziewczynę, jak zaczarowany wpatrywał się w turlający hełm. Bania podjechała do krawędzi basenu i zrobiło się ciekawie - kto pierwszy? Czy hełm zdąży wpaść do wody? Czy Armine go schwyta? Jak na stadionie. Pawłysz kibicował hełmowi.

Armine zdążyła pierwsza. Chwyciła hełm, kiedy ten już leciał do wody, przycisnęła do piersi i pobiegła do Pawłysza. Pewnie z boku wyglądało to śmiesznie - Armine starała się wcisnąć mu hełm na głowę. Chyba straciła rozsądek, przecież nie da się nałożyć hełmu mężczyźnie, który tego nie chce.

Pawłysz bez trudu złapał za dłonie dziewczynę, jej nadgarstki były bardzo szczupłe, i doprowadził do kanapy. Armine szła posłusznie, nawet nie próbowała się wyrwać. Tak zamiera w dłoniach mały ptak.

- Siadaj - powiedział Pawłysz. Usiadł obok, ale nie wypuścił ze swych rąk dłoni Armine.

- To boli - powiedziała.

- A nie uciekniesz? - Pawłysz wypuścił jej dłonie.

- To boli, bardzo boli... - powtarzała jak zakłęcie. - To boli. - I rozplakała się. Zaczęła szlochać i zwała się na kanapę. Walała pięściami w miękkie obicie, a głupia kanapa nijak nie mogła pojąć, jak się ułożyć, by Armine było wygodniej.

- Tak boli...

"Trzeba by przynieść wody, ale gdzie tu może być szklanka?" Pawłysz zachowywał się tak, jakby obserwował wszystko z boku. Wstał, podszedł do drzwi prowadzących do Zewnętrznego Ogrodu, wystukał nowy kod, zamknął na nowo drzwi. Potem odwrócił się do Armine. Ta płakała cicho, włosy rozłożyły się po jej ramionach jak wachlarz na siedzisku kanapy.

- Omal mnie nie oszukałaś - powiedział Pawłysz. - Omal sam się nie oszukałem. Kiedy zobaczyłem cię, to pomyślałem, że wcale nie zamierzasz... wejść do Zewnętrznego Ogrodu. I pomyślałem sobie: "ale ze mnie głupiec".

- Po coś tu przyszedł? - Armine zapytała cicho, jakby ją naprawdę interesowała odpowiedź.

- Nie było cię w kajucie - odparł Pawłysz. - Coś mi kazało tu przyjść. A kiedy zobaczyłem, że łącznik jest zamknięty, to wszystko zrozumiałem.

- A czy człowiek nie ma prawa zabić samego siebie? - zapytała Armine.

Usiadła, odsunęła wierzchem dłoni włosy z oczu. Oczy miała zaczerwienione.

- Po co? - zapytał Pawłysz.

- Żeby wam nie przeszkadzać.

- Nikomu nie przeszkadzasz.

W skafandrze było Pawłyszowi gorąco, musiał włączyć chłodzenie.

- Odeszłabym i wszystko by się dobrze skończyło - powiedziała Armine. - Poleciłibyście dalej. Wszyscy chcecie lecieć dalej, żeby zostać bohaterami.

- Bzdury. Nikt nie planuje zostać bohaterem. A kiedy na Ziemi naprawią kabinę, wszyscy wrócimy.

- Czy ty naprawdę w to wierzysz? Chociaż trochę?

- Na sześćdziesiąt procent - odpowiedział zupełnie w tym momencie szczerze Pawłysz.

- Kłamiesz - oświadczyła Armine.

- A to, co ty wymyśliłaś to straszliwa zdrada.

- Nic nie rozumiesz.

- A co tu jest niezrozumiałego?

Armine podciągnęła kolana do brody. Kanapa aż sapnęła. Dziewczyna oparła podbródek na kolanie. Podbródek miała mały i okrągły. Pociągnęła nosem. "Dziwne - pomyślał Pawłysz - gdyby nie przypadek, to leżałaby już tam, w lodowym lesie". Nie można było sobie tego wyobrazić.

- Kiedy dowiedziałam się, że nie można wrócić - powiedziała Armine - to właściwie już byłam z powrotem na Ziemi. Wiedziałam od początku, że mam tu być rok. Wszyscy się za mnie cieszyli. Mówili, że udało mi się. Tylko mama płakała. A za miesiąc miał być nasz ślub. Tak zdecydowaliśmy. Od kilku miesięcy nie miałam z domu. grawigramów. Niby wiadomo, skoro nie ma grawigramów, to w domu wszystko w porządku. Ale ja nagle się wystraszyłam. Bo niby pracowałam, wszystko, co trzeba robiłam, śmiałam się, byłam zwyczajna, a tak naprawdę aż się trzęsłam ze strachu. Już tak dawno nie ma mnie na Ziemi, że Sarkis mógł o mnie zapomnieć. Z każdym dniem było gorzej, ale Grażynie tego nie mogłam powiedzieć. Najpierw usiłowałam się zwierzyć, ale wyszło mi, że ona tego nie rozumie. Zaczęłam liczyć dni. Pierwsze jedenaście miesięcy było stokroć krótsze od tego ostatniego. Myślałam: "wyjdę z Centrum w Moskwie, a tu na mnie czeka tylko mama. A ja się boję zapytać, gdzie Sarkis". To psychoza, oczywiście...

- Klasyczna psychoza - potwierdził Pawłysz. - Dlaczego nie porozmawiałaś z lekarzem?

- Jesteś jeszcze chłopcem... Pawłysz wzruszył ramionami.

- A potem dowiedziałam się, że do domu nie wracam. Że przez wiele lat nie wrócimy. I wszystko runęło. No bo jaki to ma sens? Po co mam lecieć? Dokąd lecieć? Po co mi ta gwiazda? I wystraszyłam się, że nie wytrzymam. Że przeze mnie będziecie musieli wszyscy zawrócić.

- I tak teraz będziemy musieli to zrobić - powiedział.

- Dlaczego? - Armine wpatrywała się w niego z bliska. Miała wielkie, ciemne, ale przejrzyste oczy, można było zajrzeć w ich głębiny.

- Zamelduję kapitanowi, a ten od razu poleci zawrócić.

- Nic nie powiesz kapitanowi.

- Żebyś znowu przyszła tu jutro?

- Po co? - Armine nagle uśmiechnęła się. - Przecież wiem, że zmieniłeś kod zamykający. I nikt prócz ciebie go nie zna. Ale to jest złamanie przepisów.

- Zauważyłaś?

- Domyśliłam się.

Armine patrzyła na Zewnętrzny Ogród.

- Mogłam tam być.

- Głupio, prawda?

- Nie, nie głupio. Ale niepotrzebnie - powiedziała Armine. - Chyba dlatego, że niemal dopięłam swego, wszystko minęło.

- Zrozumiałaś?

- Grażyna mogłaby porozmawiać ze mną bardziej przekonująco niż ty. Powiedziałałaby, że powierzam swój los sumieniom pozostałych.
 - On na pewno doczeka się ciebie - powiedział Pawłysz. - Przecież nie wybrałaś sobie takiego obrzydliwca, który by się nie doczekał?
 - To było bardzo dawno temu. W innym życiu.
 - A twoja mama? Czeka na ciebie?
 - Nie mów mi o tym.
 - Wstydzisz się?
 - Teraz już nie.
 - Potem będziesz się wstydzić.
 - Pewnie tak.
 - Chodźmy do kapitana.
 - Nigdzie nie pójdziesz.
 - Nie rozumiem cię. Nie chcesz wrócić do domu?
 - Nigdy ci tego nie wybaczę.
 - Jeśli nie powiem kapitanowi, polecimy dalej.
 - Słusznie.
 - Armine, nic nie rozumiem. Jeśli pójde do kapitana, to lot zostanie przerwany i wszyscy wrócimy. Przecież chcesz tego tak, że... że niemal odeszłaś.
 - Gdybym odeszła, to nigdy bym nie wróciła do domu - powiedziała Armine. - A teraz chcę wrócić. Niechby nawet za wiele lat.
 - Ale ja muszę zameldować kapitanowi.
 - Proszę cię, błagam. Jeśli to zrobisz, to mnie zabijesz. Uratowałeś mnie dzisiaj, proszę więc, nie zabijaj teraz. Nie zniosę takiego powrotu...
- Armine chwyciła Pawłysza za rękę. Jej palce zacisnęły się na nich tak, że paznokcie wpiły się w skórę. Ale Pawłysz nie powiedział jej tego. Wytrzymał.
- Chodźmy - powiedział. - Muszę schować skafander, żeby nikt nie zauważył.
- Armine szybko poderwała się na równe nogi. Była uradowana. Kiedy Pawłysz też wstał, pocałowała go w policzek.
- Przrzekasz? - zapytał Pawłysz.
 - Przecież wiesz. Ja nigdy nie kłamię.

22.

"Anteusz" leciał do Alfego Łabędzia.

Szczerze mówiąc, Pawłysz przeżywał kuszenie, jakby mały zwierzak obudził się gdzieś w trzewiach: gdyby tak pójść, spełnić obowiązek i zameldować kapitanowi o przypadku Armine, to ten nakaże odwrót. I właściwie tak - nie twoja to wina, ty chciałeś lecieć dalej, ale okoliczności nie ułożyły się najlepiej. Istnienie takiego chytrego zwierzaczka wystraszyło Pawłysza. Ale i dochowywanie tajemnicy ciążyło mu. Kiedyś pewien cyrulik zdradził tajemnicę króla Midasa niemej trzcinie, a trzcina, stawszy się fujarką, zdradziła swój sekret. Należało odnaleźć taką trzcinę, która będzie trzymała język za zębami. Do tej roli nadawała się tylko jedna osoba - Grażyna.

To nie oznacza, że Pawłysz zaraz pobiegł do Grażyny podzielić się straszną tajemnicą. Do wieczora sam roztrząsał problem: jeśli Armine prosiła o zachowanie wydarzenia w sekrecie, to czy oznacza to, że informacja o jej próbie dotyczy również Grażyny?

Grażyna na kolację nie przyszła. Armine też.

Kolacja była nudna, rzeczowa, niemal bez rozmów. Pawłysz nagle pomyślał, że właśnie tak będą wyglądały tysiące kolacji, jakie czekają ich w drodze. Na dodatek kolacja była skromniejsza niż zazwyczaj - na statku już zaczęło się oszczędzanie.

Zjadłszy, Pawłysz od razu ruszył do kajuty Armine. Odpowiadał za nią. Jeśli coś się z nią stanie - winien będzie wyłącznie on.

Zastukał do jej drzwi.

Odezwała się i powiedziała, że już leży w łóżku.

- Nie sprawdzaj mnie. Przecież dałam słowo. A teraz chcę spać, jestem zmęczona.

- Ja w sprawie kolacji - skłamał Pawłysz. - Myślałem, że może ci przyniosę?

- Nie, dziękuję.

Armine odwróciła się do ściany. Pawłysz skierował się do Grażyny.

Nie spała jeszcze, ale już leżała w łóżku, nakryta pod szyję pledem.

- Co z tobą? - zapytał Pawłysz. - Złe się czujesz?

- Przeziębiam się.

- To niemożliwe - odpowiedział. - Tu nie ma przeciągów.

- Przywoziłeś coś z Ziemi i zaraziłeś mnie - powiedziała Grażyna niemal serio.

- Chcesz, żeby ci przynieść kolację?

- Nie.

- Zawołać doktora?

- Nie trzeba. To nic poważnego.

Pawłysz rozejrzał się po kajucie - nic się w niej od wczoraj nie zmieniło. A co mogło się zmienić? Drobiazgi, okruszki istnienia zostały spakowane, raczej nie wrócą od razu na swoje miejsce.

- Odwiedziłem Armine - powiedział Pawłysz. - Ona też nie jadła kolacji.

- Wiem - powiedziała Grażyna.

- Trochę się o nią martwię. - Nie wiedział, co powiedzieć dalej. Może po prostu zakomunikować: "Dzisiaj chciała popełnić samobójstwo"?

- Armine mi opowiedziała. - Nieoczekiwana pomoc nadeszła od strony Grażyny.

- Co opowiedziała?

- Jak ją znalazłeś przy Zewnętrznym Ogrodzie.

- Naprawdę? Cieszę się. Bo, wiesz, jeśli tylko ja sam o tym wiem...

- Nie bój się. Nic się jej nie stanie. To może się zdarzyć tylko raz. Potem już człowiekowi wstyd.

- Ty rozważasz to abstrakcyjnie, ale gdybyś widziała na własne oczy...

- Rozważam to konkretnie - powiedziała Grażyna. W tym momencie Pawłysz zrozumiał, że nie należy dalej dopytywać się.

- Ale będziesz jej pilnowała? - upewnił się.

- Dobrze zrobiłeś, że nikomu nie powiedziałeś. Upiory winny siedzieć w szafie, jak mówi angielskie przysłowie.

Pawłysz nigdy o nim nie słyszał.

Humor mu się właściwie polepszył. Znacznie lepiej jest dokonywać jakichś czynów, kiedy istnieje ktoś, kto doceni ich szlachetność.

23.

Grażyna chorowała ponad trzy tygodnie. Wargezi powiedział, że choroba Grażyny ma podłoże psychiczne. U jej źródeł leży stres, który odbił się na odpornościowych funkcjach organizmu. Nic strasznego, ale lepiej to wyleżeć.

Armine nie odzywała się nienagabywana, wykonywała wzorowo swoje obowiązki i starała się być niezauważalną. Z Pawłyszem niemal nie rozmawiała. Zresztą, nie było to trudne - pracowali w oddalonych od siebie sekcjach i spotykali się tylko w messie. Pawłysz nie narzucał się ze swoim towarzystwem. Zdawał sobie sprawę, że dla Armine jest swego rodzaju niedobrym wspomnieniem. Jeśli będzie się narzucał, to będzie jej jeszcze trudniej.

Kiedyś Pawłysz przyniósł Grażynie obiad.

Czytała książkę. Pawłysz odnotował - szósty odcinek "Podwodnego świata". Odmówiła zjedzenia zupy, więc zapytał:

- Gdzie się podziała twoja żelazna wola?

- Nigdy jej nie miałam.

Pewnie powinien był wyjść, ale nie miał na to wielkiej ochoty.

- Rozmawiałem z mechanikami. Oni sądzą, że można podnieść granicę mocy przerzutu.

Przynajmniej teoretycznie.

Grażyna machnęła ręką, jakby opędzając się od słów Pawłysza.

- Sam się oszukujesz - powiedziała. - Teoretycznie to można dolecieć w ciągu pięciu nawet minut.

Pawłysz wykorzystał ten ruch jej ręki, by włożyć w nią łyżkę. Przysunął bliżej talerz.

Grażyna zjadła dwie łyki zupy.

Odłożyła łyżkę.

- Słowo honoru, nie chcę.

- Poczekam. Jestem uparty.

-No to czekaj.

- Czytasz szóstą część "Podwodnego świata"?

- Tak sobie, przeglądałam...

- Tylko się nie łam. - Pawłysz chwycił łyżkę i podał ją Grażynie.

Grażyna nieoczekiwanie chwyciła Pawłysza za przegub.

Znieruchomiał.

- Nie mam tu nikogo prócz ciebie - powiedziała.

- Jest nas tu trzydzieści osób... I Armine.

- Tylko ty, Sławku - powiedziała Grażyna. - Armine jest teraz zupełnie obca.

- Poważnie?

- Jestem pozbawiona poczucia humoru. Przecież wiesz. Jej ręka odsunęła się. Pawłysz znowu podał jej łyżkę, nie udało mu się wymyślić nic lepszego.

- Powiedz, tylko szczerze, nie obrażę się. Zakochałeś się we mnie od pierwszego spojrzenia?

- W ogóle nie ma innej miłości poza tą od pierwszego spojrzenia - powiedział Pawłysz, - Bo inaczej, jaki by to miało sens? Po co przypatrywać się sobie przez pół roku? Co nowego można zobaczyć?

- To prawda?

- Mnie to się tylko tak przydarza.

- Jak, tak? - Grażyna aż usiadła na łóżku. Jej zielone oczy rozpałiło ostre panterze światło. - Natychmiast wyjdź stąd. Wszystkim to mówisz? Zawsze ze wszystkimi tak ci wychodzi?

- Jak skończysz zupę, to wyjdę. Nie wcześniej. Mogę czekać. Nawet dwadzieścia lat.

- Dziękuję, Sławeczku. Ale teraz już sobie idź, dobrze?

- Zgoda.

- Przyjdiesz jutro?

- Zastanowię się - powiedział Pawłysz, wstając.

- Nienawidzę cię - powiedziała Grażyna - bo ciągle sobie kpisz.

- Bo jestem zdezorientowany. Pod drzwiami dogonił go jej głos:
- Od pierwszego spojrzenia?
- Słowo honoru.
- A wcześniej coś takiego nie miało miejsca?
- Nigdy.
- Dobranoc.

24.

Tej nocy Pawłysz zasnął niemal błyskawicznie. Dotarł tylko do swojej kajuty i położył się, żeby pomyśleć o Grażynie.

Ale zasnął.

A rano obudził się przepelniony poczuciem szczęścia.

To uczucie było tak przyjemne, czułe i spokojne, że Pawłysz nawet nie usiłował uprzytomnić sobie, co się właściwie stało? Potem sobie przypomniał.

I zrozumiał, że straszliwie tęskni do Grażyny.

Może podskoczyła jej temperatura?

Odezwał się gong wzywający na śniadanie. Oho, Pawłysz zasnął. Tego jeszcze tylko brakowało! Poderwał się, pośpiesznie umył, ubrał i pognął do messy.

Zaraz weźmie jej śniadanie i zanieś do kajuty. I nawet, jeśli Wargezi będzie sobie pokpiwał, to nie obrazi się. Niech sobie szydzi, on ma po prostu taki charakter.

Grażyna siedziała w messie.

Na obliczu Pawłysza odbiło się takie rozczarowanie, że aż ktoś się roześmiał.

- Co się stało? - zapytał Johnson. Ale Pawłysz nie zdążył odpowiedzieć. Patrzył w zielone oczy, a w zielonych oczach widniało pytanie.

- Zamierzał pędzić ze śniadaniem do chorej - powiedział Wargezi - a chora pozbawiła go tej przyjemności.

- Postanowiliśmy się pobrać - przyznał Pawłysz. Sekundę wcześniej nawet nie myślał o tym.

Słowa uleciały z jego ust całkowicie nieoczekiwanie.

- To prawda? - zapytał Kapitan-2. Ale zapytał nie Pawłysza, a Grażynę. Kąciki jego ust drgnęły, jakby starał się nie uśmiechnąć.

Po raz pierwszy Pawłysz zobaczył, jak Grażyna się rumieni. Milczała.

- Nie złość się - powiedział Pawłysz.

- Nie złość się - ze złością w głosie, ale spokojnie odparła Grażyna.

- Przepraszam, powinienem był cię zapytać.

- Nawet o tym nie rozmawialiśmy!

Scena może i wyglądała śmiesznie, ale nikt się nie roześmiał.

- Ja tak to zrozumiałem. - Pawłysz miał ochotę wyjść.

- To żart - powiedziała Grażyna, zwracając się do wszystkich obecnych. - Co tak stoisz?

Śniadanie się kończy. Spóźnisz się na wachtę.

Pawłysz posłusznie usiadł. Bał się, że wszyscy będą mu się przyglądać, ale załoga zaczęła rozmawiać o innych sprawach. Tylko Armine zerknęła na niego i natychmiast odwróciła wzrok.

"No i jesteśmy kwita" - pomyślał Pawłysz.

25.

- Mogłeś się mnie zapytać - powiedziała Grażyna, kiedy wyszli z messy.

- Nie zdążyłem. Zobaczyłem cię i pomyślałem, że nie będziesz się złościć.

- To jakieś przedszkole. Zatrzymali się pod jej drzwiami.

Grażyna stanęła na palcach i pocałowała Pawłysza w kącik ust.

- Spałeś w nocy? - zapytała.

- Jeszcze jak!

- Szkoda. Ja nie spałam. Idź.

Kiedy Pawłysz zbliżył się do centrum przedziału kabinowego, zebrali się tam już wszyscy jego koledzy. Swoi. Oni mogli o wszystkim gadać.

- Możemy mieć do czynienia z najdziwniejszym małżeństwem we Wszechświecie - oświadczył Wargezi. - Skutek stresu psychologicznego.

- Nic dziwnego - powiedział Johnson. - To się zdarza również na Ziemi.

- Ale urządzimy weselisko - powiedział Stanzo. - Dawno już nie bawiłem się na prawdziwym weselu.

A wtedy zapłonął sygnał gotowości na pulpicie odbioru.

Najpierw mrugnął. Zapłonął ponownie i najpierw nikt nie pojął, co się właściwie dzieje.

W ciągu ostatnich dni wszyscy przywykli już do braku sygnału gotowości.

Sygnał jarzył się wyraźnie i pewnie.

Stanzo wstał, główny pulpit zaczął działać. Johnson powiadomił mostek, że łączność z Ziemią została przywrócona.

Po dwudziestu minutach nadszedł grawigram z Ziemi. Krótki: "Czekajcie na przerzut". Do tego niezbędne dane - dokładny czas, masa, specyfikacja.

26.

Grażyna, jako jedyna na statku, nie wiedziała, co się dzieje. Znajdowała się w kajucie i miała odłączony wewnętrzny komunikator.

Pawłysz, gdy tylko znalazł okazję, pobiegł do niej.

Od chwili przyjęcia grawigramu minęło dopiero pięć minut i dlatego wszyscy byli tak zajęci w teleportacji, że nie zdawali sobie do końca sprawy, co się stało. Ale, oczywiście, ucieszyli się. I oczekiwali ciągu dalszego.

- Grażyna! - Pawłysz wpadł do kajuty. - Wiesz, co się stało?

- Łączność, tak? - Głos Grażyny zadrżał.

To, że domyśliła się od razu, było niesprawiedliwe.

- Jak się domyśliłaś?

- Myślałam o tym - odpowiedziała Grażyna. - Akurat w tym momencie myślałam o tym.

- Czekając na to? - I nagle Pawłysz zrozumiał, że nie wydarzyło się nic dobrego. Że życie, które niedawno ułożyło się tak dramatycznie, prawdziwe, niezwykle życie, kończy się. Jak taśma wideo.

- Bałam się tego - powiedziała Grażyna.

- Ale my zostaniemy przy sobie, przecież z nami wszystko jest jak wcześniej, prawda? Tak?

- Z nami... chyba tak. Ale dokoła wszystko będzie inaczej.

- Poczekaj! Przecież nie wiemy. Może łączność jest tylko tymczasowa! Może nic się nie zmieni?

- Jesteś taki śmieszny, Pawłysz. - Grażyna podniosła rękę i mocno chwyciła go za ramię. - A ja się boję.

- Ale przecież możemy powiedzieć, że już zdecydowaliśmy pozostać na pokładzie do końca...

Pawłysz zamilkł. Po co gada takie bzdury? Nadzwyczajne okoliczności skończyły się, zaczęło się zwyczajne życie, do którego należy przywyknąć. A to wcale nie jest takie proste.

27.

Pierwszy przerzut nastąpił następnego dnia.

Milew z drugiej załogi przebył badania poprzelotowe i znalazł się w messie. Powiedział, że załogę "Anteusza" już nazywa się na Ziemi "polamikami". Jak odległych w czasie, zimujących na stacjach arktycznych, badaczy.

Okazało się, że Dąbrowski ma rację. Ale tylko częściowo.

Energetyczny próg przerzutu istniał naprawdę, ale nie była to granica teleportacji, a tylko pewien próg.

Zanik łączności zaskoczył wszystkich. Dlatego ziemskie Centrum potrzebowało kilku dni, by zamontować nowe grawirotory.

Przez pierwsze godziny i dni po utracie łączności oczekiwano wieści o powrocie "Anteusza". To był krach starego marzenia, krach stylu życia. Potem stało się jasne, że "Anteusz" kontynuuje podróż do Alfy Łabędzia.

- No, chłopcy i dziewczęta - powiedział Milew. - Przygotujcie się do powrotu w aureoli bohaterów. Poczytalibyście, co o was piszą, posłuchalibyście, co mówią! Jeszcze wczoraj byłem najpopularniejszym facetem na całym globie. Bo leciałem do Tych, Którzy Złożyli Siebie W Ofierze Ludzkości! Ale historia... - Milew był podniecony, czuł się posłańcem dobrych nowin. Słuchano go w zakłopotaniu. Przecież, tak szczerze, nikt tu nie był bohaterem.

- Chętni z nowej zmiany, z mojej zmiany, mogą wrócić przed terminem. Oczywiście, będzie to kosztowało trochę Ziemię, ale rozumiemy, że panowało tu nerwowe napięcie, bodaj czy nie większe niż podczas lotu pierwszego kosmonauty...

Roześmiał się, a niektórzy z załogi uprzejmie się uśmiechnęli.

Pawłysz wiedział, że nigdzie stąd teraz nie odleci. Zostało mu dziesięć miesięcy praktyki i zamierza je spędzić na "Anteuszu". Chociaż bez Grażyny. I przez wszystkie te dziesięć miesięcy będzie myślał: "Co ona teraz robi?" I będzie się bał powrotu.

Grażyna położyła dłoń na rękę Pawłysza.

- To nic - powiedział Pawłysz bardzo cicho, żeby nie przerywać monologu Milewa. - Wytrzyma się.

Grażyna cofnęła rękę.

28.

Grażyna odleciała następnego dnia. Jako pierwsza, ponieważ ciągle jeszcze nie doszła do zdrowia.

- Poczekasz na mnie? - zapytał Pawłysz.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Na razie niczego nie wiem.

Do Alfy Łabędzia "Anteuszowi" zostało dwanaście lat i dziesięć miesięcy lotu.

przekład Ewa i Eugeniusz Dębscy